Czas. 2552/1980/1-26

kamena

LUBLIN 6 I 1980 NR 1 (695) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

DYSKUSJE „KAMENY"

PRZED VIII ZJAZDEM PZPR

Polak i praca

str. 3

W ankiecie „Kameny" wypowiada się Józef Szajna

str. 6

W obronie adiunktów

Janina Opieńska-Blauth

str. 7

Maria Józefacka

POLAKÓW PORTRET WŁASNY

notatki z wystawy

zapomnieć kim jesteśmy znaczy nie być wcale

niepodległość zachować ocalić tożsamość
złączyć się mocą talentów prac naszych
czyli też
z osobna
jak kołek
skoro płot się okazał zbyteczny
bo domu dawno nie ma
bliscy
w przytułku

Fot. Waldemar Stępień

nigdy nie będziesz u siebie
a może ci już na tym bardzo nie zależy

czas nasz nie nazbyt długi między snem a jawą
gdzie krwawo wschodzi pełnia niespełnienia
czyli to będzie życie ponad stan
lecz z rękoma w kieszeniach
na koszt tych
co kiedyś

na co przyjdzie ojczyźnie że się przez nas staje

Świat wkracza w przedostatnią dekadę XX wieku

Piszę te słowa 25 grudnia, dotrą one do Czytelnika już w nowym 1980 roku. Otworzy on przedostatnią dekadę dwudziestego wieku. Dekada lat siedemdziesiątych, która się właśnie zamyka, obfitowała w wiele wydarzeń. I gdyby nie grudniowe decyzje NATO, które grożą światu rozpętaniem nowej spirali zbrojeń, można by tę dekadę oceniać z umiarkowanym optymizmem.

W MARCU 1970 r. Związek Radziecki i Republika Federalna Niemiec zawarły układ o wzajemnym wyrzeczeniu się siły w oparciu o status quo. W grudniu tegoż roku Polska i RFN podpisały doniosły dokument o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków. Układ potwierdził ostateczny charakter granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

W nowych warunkach politycznych mogło dojść do wizyty Edwarda Gierka w RFN. Nastąpiła ona w czerwcu 1976 roku. Wizytę poprzedziła helsińska Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Przedstawiciele

Dokończenie na str. 2

PAŁACOWE MARZENIA

Ireneusz J. Kamiński

PAŁAC w Serebryszczu wyrósł w końcu XVII wieku, a w 1974 bodaj roku na resztkach jego dachu wyrosła brzoza. Zdjęto ją w trzy lata później, kiedy to jesienną porą Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna z tej miejscowości przystąpiła do remontu obiektu, co naturalnie zostało odnotowane przez prasę, choć nie wykluczone, że i przez telewizję. W tej chwili budynek pokrywa już blacha miedziana, we wnętrzach pracuje brygada remontowa wspomnianej spółdzielni, a przed pałacem kilku ludzi wykonuje klatki dla srebrnych lisów, które w liczbie 300 sztuk pomnażają majątek inwestora, obliczany na 100 mln złotych...

Między wierszami tej informacji kryje się sugestia dość cuchnąca: że zabytek został zrujnowany w naszych czasach, na oczach i przy udziale społeczeństwa, które skądinąd deklaruje swój szacunek dla tradycji kulturowej bez względu na jej klasowy stempel i treści ideologicznie obce egalitarnej doktrynie społecznej, widząc w dawnej, na przykład, architekturze spełnienie kreacyjnych możliwości człowieka i wyjątkowo pojemny środek przekazu wiedzy historycznej. Co prawda jednak, to prawda: pałac w Serebryszczu, do którego w połowie XVIII stulecia miał przyłożyć swoją wielce utalentowaną rękę architekt Paweł Fontana, zdewastowany został po drugiej wojnie światowej.

Warto przecież wiedzieć, że cała ta posiadłość zaczęła chylić się ku upadkowi już w pierwszej połowie minionego wieku. Ktoś, kto trafił do majątku w 1939 roku, gnany wojną, nie za bardzo mógł odróżnić właścicieli pałacu od okolicznego chłopstwa — tak obie strony upodobniły się do siebie poziomem życia i przyodziewkiem. Czy relacja ta w pełni oddawała stan faktyczny, trudno powiedzieć, ale włożenie jej między bajki także byłoby lekkomyślne, jako, że pauperyzacja zie-

Dokończenie na str. 4

Świat wkracza w przedostatnią dekadę XX wieku

Dokończenie ze str. 1.

33 krajów Europy oraz USA i Kanady podpisali 1 sierpnia 1975 r. Akt Końcowy KBWE. Edward Gierek tak mówił na temat spotkania helsińskiego 31 lipca 1975 r.:

Dziś po raz pierwszy w historii pokojowy ład Europy opiera się na powszechnym uznaniu suwerennych praw i interesów wszystkich państw naszego kontynentu, co stwarza jego narodom pomyślne warunki rozwoju i bezpieczeństwa. Podstawą tego ładu jest polityczno-terytorialny stan rzeczy, który ukształtował się w rezultacie zwycięstwa narodów nad faszyzmem, postanowień konferencji poczdamskiej i powojennego rozwoju. Deklaracja o zasadach stosunków międzypaństwowych, którą tu podpiszemy, potwierdza fundamentalne znaczenie nienaruszalności granic i integralności terytorialnej państw. Jej przyjęcie przez konferencję oznacza, iż wszystkie uczestniczące w niej państwa potwierdzają wyrzeczenie się raz na zawsze roszczeń terytorialnych, które w przeszłości były zarzewiem konfliktów i krwawych wojen. Naród polski widzi w tej deklaracji wielką kartę pokoju w Europie.

Po konferencji w Helsinkach doszło do spotkania w Belgradzie (1977 r.), obecnie trwają przygotowania do ponownych rozmów, tym razem w Madrycie.

Całokształt stosunków politycznych na naszej planecie nierozłącznie jest związany z klimatem, jaki panuje na linii Moskwa—Waszyngton. Dlatego trzeba tu przypomnieć historyczny Program Pokoju, zawarty w referacie Leonida Breżniewa na XXIV Zjeździe KPZR. 30 marca 1971 r. przywódca ZSRR przedstawił sześć zasadniczych propozycji i postulatów, które w skrócie brzmią następująco: *1) likwidacja ognisk wojennych i powstrzymanie się od użycia siły, bądź gróźb jej użycia; 2) ostateczne uznanie zmian terytorialnych, które nastąpiły w Europie po drugiej wojnie światowej i zwołanie Konferencji Europejskiej* (wspomniałem o niej wyżej), *a także likwidacja Układu Warszawskiego i NATO; 3) zawarcie układów zakazujących używania broni nuklearnej, chemicznej i bakteriologicznej; 4) zwołanie światowej konferencji dla rozpatrzenia całokształtu zagadnień rozbrojeniowych; 5) likwidacja pozostałych reżimów kolonialnych, potępienie rasizmu i apartheidu; 6) ZSRR wyraził gotowość do współpracy z innymi państwami nad powszechnymi problemami ludzkości — ochroną środowiska, opanowaniem zasobów surowcowych, likwidacją chorób i klęsk, zdobywaniem kosmosu itp.*

Energiczna działalność dyplomacji radzieckiej doprowadziła w dwa lata później, w maju 1972 r., do zawarcia między ZSRR a USA układu SALT. Oba państwa postanowiły ograniczyć swoje systemy broni przeciwrakietowej i podjęły środki mające na celu ograniczenie ofensywnych zbrojeń strategicznych. Jednocześnie zamrożono na pięć lat liczbę posiadanych rakiet balistycznych i okrętów podwodnych służących jako wyrzutnie takich rakiet.

Pierwszy krok został zrobiony. Krokiem następnym stał się SALT II. Układ ten podpisali w połowie czerwca 1979 r. w Wiedniu Breżniew i Carter. W układzie jest mowa o ilościowym ograniczeniu zbrojeń strategicznych i powstrzymaniu się od ich doskonalenia jakościowego. Doceniając znaczenie tego dokumentu, trudno nie stwierdzić, że jego ratyfikacja w Kongresie USA zbytnio się przeciąga...

Ażeby temat bardziej wyczerpać, przypomnę jeszcze październikowe wystąpienie Leonida Breżniewa w Berlinie podczas uroczystości związanych z 30-leciem powstania NRD. Przywódca ZSRR zapowiedział jednostronne wycofanie z terytorium NRD 20 tysięcy żołnierzy i tysiąca czołgów. Był to akt dobrej woli, mający zachęcić mocarstwa zachodnie do podobnych posunięć. Niestety, grudniowa sesja NATO postanowiła — mimo sprzeciwów Holandii, Belgii i Danii — pójść inną drogą. Decyzje o zainstalowaniu na terytoriach szeregu państw NATO nowych pocisków atomowych średniego zasięgu (Pershing II i Cruise) komplikują sytuację w Europie. Zachód chce ze Wschodem rozmawiać z pozycji siły. Agencja TASS w związku z tym pisała: *Rada NATO zlikwidowała podstawę rokowań o broniach średniego zasięgu i tym samym wzięła na siebie brzemię odpowiedzialności za nową rundę wyścigu zbrojeń.*

Przez całą Europę przechodzi fala protestów. Głowica nuklearna o sile wybuchu większym niż bomba zrzucona na Hiroszimę, która przy pomocy rakiety jest w stanie w ciągu minuty, dwóch dosięgnąć terytorium Polski, budzi wśród nas zrozumiały niepokój. Rzecz jasna że kraje socjalistyczne będą zmuszone zatroszczyć się o własne bezpieczeństwo.

Sytuacja w Europie ze zrozumiałych względów interesuje nas najbardziej. Ale współczesny świat stanowi system naczyń połączonych. W minionej dekadzie toczyło się wiele konfliktów, które poprzez telewizję absorbowały i szarego człowieka.

Do lipca 1976 roku Stany Zjednoczone były uwikłane wojną w Wietnamie. Wojna ta kosztowała Stany Zjednoczone ponad 50 tysięcy ofiar i ponad 150 miliardów dolarów. Z powodu swego okrucieństwa zadała ona cios prestiżowi amerykańskiemu. Stany Zjednoczone narobiły sobie wrogów tam, gdzie mogły ich nie mieć. I w ostatecznym rachunku, kiedy musiały się z Wietnamu wycofać, spostrzegły, że rola „żandarma świata" nie popłaca.

Zwycięstwo nad Amerykanami nie oznaczało jednak pokoju dla Półwyspu Indochińskiego. W sąsiadującej z Wietnamem Kambodży objął był władzę Pol Pot i tzw. Czerwoni Kmerzy, którzy doprowadzili do eksterminacji narodu. Wymordowano ponad trzy miliony mieszkańców. Czerwoni Kmerzy prowokowali starcia graniczne z Wietnamem: sprzymierzeni i popierani przez chińskich hegemonistów chcieli wspólnie z Chinami ująć Wietnam w kleszcze, podporządkować ten kraj Pekinowi.

Kiedy Front Ocalenia Narodowego Kambodży obalił reżim Pol Pota, Chiny zaatakowały Wietnam. Wietnamczycy odparli najazd, eliminując z walki 62 tysiące żołnierzy i niszcząc 280 czołgów. Gdy umilkły działa, rozpoczęły się rozmowy wietnamsko-chińskie. Wietnam domaga się przywrócenia normalnych stosunków dwustronnych w oparciu o pokojową koegzystencję. Rozwiązanie problemów granicznych i terytorialnych powinno nastąpić przy poszanowaniu status quo pozostawionego przez historię.

Drugim newralgicznym i zapalnym punktem świata był w mijającej dekadzie Bliski Wschód. 6 października 1973 r. wybuchła już czwarta z kolei wojna między Izraelem a Egiptem i Syrią. Interweniowała Rada Bezpieczeństwa ONZ. Zawieszenie broni, zawarte 26 października, doprowadziło do rozdzielenia wojsk Egiptu i Izraela na Półwyspie Synajskim. Do dzisiejszego dnia trwa jednak okupacja przez Izrael rejonu Gazy i zachodniego brzegu Jordanu, a także części terytorium syryjskiego. Zaskakująca wizyta prezydenta Sadata w Izraelu w czerwcu 1977 r. i podpisany później pod wpływem USA traktat pokojowy w Camp David nie doprowadziły do złagodzenia sytuacji. Sadat został przez inne kraje arabskie oskarżony o zdradę sprawy palestyńskiej, wzrosła rola i znaczenie Organizacji Wyzwolenia Palestyny i jego przywódcy Arafata. Traktat z Camp David coraz bardziej staje się świstkiem papieru: Izrael sabotuje nawet te postanowienia, na które wyraził zgodę.

Jednocześnie na Bliskim Wschodzie zaczęły zachodzić i inne przeobrażenia, mające kapitalne znaczenie dla współczesnego świata. Kraje arabskie, dysponujące ropą naftową, uznały ją za swoistą broń. Cena ropy naftowej gwałtownie wzrosła. OPEC (Organizacja Państw Eksporterów Nafty) jeszcze na początku dekady żądała za baryłkę (0,14 tony) 1,80 dolara. Teraz, na końcu dekady, żąda 30 dolarów, a nawet i więcej. A charakterystyczne, że np. pod koniec poprzedniej dekady cena ropy była niższa niż w 1951 r.! Dodajmy do tego fakt, że wydobycie ropy naftowej wzrasta obecnie wolniej niż jej zapotrzebowanie.

Rosną nie tylko ceny ropy naftowej. Mam dane z 1977 roku, a więc nie w pełni aktualne, nie mniej charakterystyczne: jeżeli rok 1970 przyjmiemy za 100, to w 1977 r. dla surowców liczba będzie wynosić 341, w tym żywności — 242, węgla — 305 (niestety, cena ropy naftowej wzrasta daleko szybciej niż węgla).

Bieżąca dekada charakteryzowała się więc galopującą inflacją, spadkiem wartości dolara. Kurs marki zachodniej podniósł się w stosunku do dolara o 56 proc., a franka szwajcarskiego aż o 96 proc. Spadał dolar, zwyżkowało złoto i wszystko wskazuje, że zwyżkować będzie nadal. Jeszcze w 1970 r. za uncję (31,1 g) złota płacono 35 dolarów. Pod koniec 1979 r. płaci się... 470 dolarów, a więc ponad trzynastokrotnie więcej.

Kraje kapitalistyczne mają więc swoje poważne kłopoty. *Objawy patologiczne* — pisał amerykański „Time" 16 października 1978 r. — *są doskonale znane: zmniejszająca się produkcja w głównych gałęziach przemysłu, utrzymująca się na wysokim poziomie inflacja, niepokojąco duże bezrobocie. (...) Stopniowo społeczeństwo zaczyna sobie uświadamiać, że to, co się dzieje obecnie, nie jest kolejnym etapem recesji koniunkturalnej: Wielki Kryzys lat trzydziestych był bowiem tylko czasowym zahamowaniem, a nie trwałą zmianą obowiązującego ładu ekonomicznego czy przemysłowego. Obecnie natomiast w Europie Zachodniej zachodzą ogromne zmiany istniejącego tu porządku przemysłowego. Nie będzie przesadą twierdzenie, że po raz pierwszy od czasów rewolucji przemysłowej Europa Zachodnia staje w obliczu równie daleko idących przemian życia ekonomicznego. Na losy dziesiątków tysięcy robotników z uprzemysłowionych regionów północnych Włoch czy Szwecji przekształcenia te wywierają wpływ z całą bezwzględnością. (...) francuscy hutnicy zorganizowali jednodniowy strajk w Lotaryngii, aby zaprotestować w ten sposób przeciwko rządowemu planowi uratowania ich przemysłu od bankructwa — m. in. drogą zmniejszenia zatrudnienia w hutnictwie o 30 tysięcy ludzi w ciągu pięciu lat. W Tulonie i Hamburgu, gdzie można się spodziewać zamknięcia stoczni, robotnicy zorganizowali demonstrację, domagając się podjęcia przez rząd kroków, które by zapobiegały dalszym ograniczeniom pracy stoczni...*

Przykłady można mnożyć.

Gdy się omawia mijającą dekadę, nie sposób nie wspomnieć o wzroście znaczenia krajów trzeciego świata, które w ONZ uzyskały już polityczną przewagę. Ale kraje trzeciego świata nie stanowią monolitu, ścierają się tu różne siły. Są kraje — bogacze i kraje — nędzarze. Podwyżka cen ropy naftowej pogłębia istniejące kontrasty. W nienaftowych krajach rozwijających się, a jest ich około setki, zadłużenie już w 1976 r. wyniosło 186 mld dolarów (niektóre dane mówią nawet o 220 mld!), a prognozy zadłużenia na 1985 rok wahają się od 350 mld dolarów do 500 dolarów, co może wynieść 45 proc ich produktu narodowego brutto.

Nowojorski „Foreign Policy" z grudnia 1977 r. zwrócił uwagę na niebezpiecznie postępujący przypływ demograficzny: *Większość dyskusji* — stwierdza pismo — *koncentruje się na problemie stanu zaludnienia Ziemi do 2000 r. — czy będzie nas sześć czy siedem miliardów i czy świat będzie w stanie na to sobie pozwolić. Jednakże pod każdym względem rok 2000 nie jest tu najważniejszą kwestią. Najpilniejszy jest inny problem: ogromny obecnie odsetek młodzieży poniżej 15 lat. Ta grupa ludnościowa już żyje, to ona właśnie w ciągu najbliższego dziesięciolecia zaleje szkoły i rynki pracy krajów nierozwiniętych. (...) Szczególnie drastycznie rysuje się problem w Meksyku. Kraj ten w 1920 r. liczył 14 mln mieszkańców, obecnie ma ich 60 mln, a pod koniec XX wieku liczyć będzie prawdopodobnie 100 mln mieszkańców.*

Według Rocznika Demograficznego ONZ żyło na świecie w 1970 r. 3630 mln ludzi. Dziś żyje 4400 mln 4 miliardy 400 milionów! Ilu spośród nich nie dojada, ilu żyje w bezgranicznej nędzy, ilu na jej pograniczu?

Koncentruję się na problemach najistotniejszych, a przecież, kiedy omawia się dwudziestolecie nie sposób nie wspomnieć — już bez bliższej analizy i oceny — o:

* obaleniu demokratycznego rządu w Chile (1973 r.) i zamordowaniu przez juntę Pinocheta prezydenta Salvadora Allende;
* śmierci Czou En-lai'a i Mao Tse-tunga, rozgromieniu tzw. bandy czworga i objęciu władzy przez nowych przywódców, którzy, niestety, jeszcze bardziej zintensyfikowali kurs antyodprężeniowy i poszli na awantury wojenne (Wietnam), popierając jednocześnie skrajne prądy zimnowojenne;
* straceniu b. prezydenta i premiera Pakistanu, Zulfikara Ali Bhutto;
* gwałtownej wojnie domowej w Libanie;
* przywróceniu rządów parlamentarnych w Grecji, Hiszpanii i Portugalii;
* zwycięstwie sił postępowych w Angoli i nasileniu na południu Afryki walk z białą mniejszością;
* konflikcie grecko-tureckim na tle Cypru;
* obaleniu dyktatury Amina w Ugandzie, Cesarza Bokassy I w Afryce Środkowej, detronizacji cesarza Hajle Sellasje w Etiopii, udanym zamachu na dyktatora Korei Południowej, Pak Dzong Hyi, przepędzeniu gen. Somozy z Nikaraguai;
* podpaleniu meczetu w Mekce.

I wreszcie nie można pominąć doniosłych zmian w Iranie, których na początku dekady nikt nie przewidywał: obaleniu szacha Rezy Pahlawi i powrotu ajatollaha Chomeiniego, który proklamował Islamską Republikę Iranu. Iran z przyjaciela USA przekształcił się w wroga a sprawa amerykańskich zakładników w Teheranie stała się kluczowym problemem w stosunkach między obu krajami.

Nie poruszam w tym omówieniu problemów krajowych, ale fakt, że na tronie papieskim zasiadł Polak, Jan Paweł II, ma swoją wymowę. Jego wizyta w Polsce, jego ostatnie wystąpienia mające na celu powstrzymanie wyścigu zbrojeń zasługują na szczególne podkreślenie.

Świat wkracza w rok 1980. Wkracza z niepokojem, ale wciąż, mimo wszystko, z umiarkowanym optymizmem. Rozpoczyna się dekada, która na pewno nie będzie łatwa, która po burzliwym poprzednim dziesięcioleciu kryje w sobie wiele niewiadomych.

Jedno jest pewne: walka o odprężenie międzynarodowe będzie trwała nadal, bo świat ma alternatywę albo pokój, albo totalna zagłada. Tertium non datum.

MAJ

NASZYM CZYTELNIKOM I WSPÓŁPRACOWNIKOM — PRZYJACIOŁOM „KAMENY" SKŁADAMY NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA NOWOROCZNE DZIĘKUJĄC JEDNOCZEŚNIE ZA WSZYSTKIE CIEPŁE SŁOWA, KTÓRE Z OKAZJI ŚWIĄT I NOWEGO ROKU DO NAS SKIEROWALI

REDAKCJA

DYSKUSJE „KAMENY" PRZED VIII ZJAZDEM PZPR

Krystyna Dolecka

Barbara Kwietniewska

Wacław Małecki

Fot. Waldemar Stępień

PATRIOTYZM DNIA DZISIEJSZEGO

Polak i praca

„Socjalistyczny patriotyzm naszych czasów — stwierdził I Sekretarz KC PZPR Edward Gierek — to patriotyzm wyższej niż kiedykolwiek skuteczności i zdolności do mądrego kształtowania losu kraju". Zdanie to, znajdujące się w Wytycznych Komitetu Centralnego na VIII Zjazd PZPR, stało się dla nas punktem wyjścia dla zorganizowania kolejnej przedzjazdowej dyskusji redakcyjnej. Tym razem zaprosiliśmy do niej reprezentantów młodej generacji, przedstawicieli środowisk pracowniczych znanych w Lublinie zakładów przemysłowych i instytucji. W dyskusji wzięli udział: Krystyna Dolecka — reprezentująca organizację zakładową ZSMP w Lubelskich Zakładach Przemysłu Terenowego „Lubgal", Barbara Kwietniewska — przedstawicielka ZSMP w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Handlu Wewnętrznego oraz Wacław Małecki — reprezentujący organizację zakładową ZSMP w Kombinacie Maszyn Rolniczych „Agromet". Z ramienia „Kameny" uczestniczył w dyskusji Mirosław Derecki.

Mirosław Derecki: Myślę, że rozpoczynając naszą dyskusję warto by przede wszystkim zastanowić się, jak każdy z nas rozumie pojęcie „patriotyzmu dnia dzisiejszego". Jak ono koresponduje z naszą pracą dla kraju, w jaki sposób wyraża się w owym „nadrzędnym celu naszego działania", którym jest służba socjalistycznej Polsce, jak to wychodzi w realizacji?

Wacław Małecki: Zacznijmy od tego, że patriotyzm dnia dzisiejszego to chyba przede wszystkim nauka, dyscyplina, doskonalenie się. I ten „patriotyzm codziennych działań", jaki ma przed sobą współczesny młody człowiek, wcale nie jest rzeczą łatwą. Nie jest nią tym bardziej przy występujących brakach materiałowych czy innych trudnościach, o których wszak dyskutujemy przed VIII Zjazdem. Bywa, że młodzi ludzie pracują i przez dwanaście godzin, aby nadrobić czas zmarnowany z powodu braku dostaw. Bo wiedzą, że od ich zrozumienia sytuacji tak wiele zależy. Albo na przykład ubiegłoroczna zima: w czasie największych śniegów wiele zakładów produkcyjnych, korzystając z zarządzenia Prezesa Rady Ministrów, zamknęło bramy. A u nas, w „Agromecie" produkcja szła. I to wcale nie ze względu na plany. Plan roczny wykonaliśmy w ostatnich dniach grudnia, ale w grę weszła inna sprawa: ambicja załogi. To był właśnie patriotyzm. Patriotyzm dnia codziennego. Dodam, że dzisiaj w zakładach produkcyjnych pracuje przeciętnie 50 proc. ludzi młodych. I ja nigdy się nie zgodzę z twierdzeniami, że „dzisiejsza młodzież...", że młodzież to „postawy konsumpcyjne".

Barbara Kwietniewska: Skąd te poglądy na temat młodzieży? Przecież pracujemy tak samo jak inni. Dla siebie, dla nas wszystkich, dla kraju... Może trzeba się nam nieco uważniej przyjrzeć. Chciałabym dać przykład rozbudzania poczucia odpowiedzialności, zaangażowania w sprawy dnia codziennego, nad jakim pracuje nasza organizacja młodzieżowa w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Handlu Wewnętrznego. Przykładamy mianowicie wielkie znaczenie do sklepów z obsługą młodzieżową. W takich sklepach personel stanowią ludzie młodzi, tylko kierownik jest osobą doświadczoną, o dużym stażu pracy. Lecz spełnia on tutaj przede wszystkim rolę doradcy. Nie spoczywa wszystko „na jego głowie". To młodzi pracownicy są współpartnerami w prowadzeniu zaopatrzenia, w dbaniu o wystrój sklepu, warunki sprzedaży i atrakcyjność znajdującego się na półkach towaru. Nasza organizacja bardzo mocno stawia właśnie na sprawę zaangażowania i wyrabiania odpowiedzialności w młodym pokoleniu.

Krystyna Dolecka: Mówimy młodzi, młodzież... Chciałabym przypomnieć, że owa młodzież to w niemałej części również młode małżeństwa, młode matki, młodzi ojcowie. To młodzi wiekiem ludzie, ale ludzie dorośli i myślący poważnie. Na przykład większość załogi „Lubgalu", to młode mężatki. Wiele z nich ma już dzieci. Bardzo często na produkcję wpływają ich spostrzeżenia i uwagi. Przecież my same po pracy chodzimy po mieście, zaglądamy, jak inne kobiety, do sklepów i orientujemy się, co jest na rynku, a czego nie ma. I zdajemy sobie sprawę, że nieraz od nas właśnie zależy, czy pożądany asortyment będzie w sprzedaży. W „Lubgalu" 90 procent pracowników to kobiety; 75 procent tych kobiet to członkinie ZSMP. Nasza siła przekonywania, nie może nie być niedoceniana. Często nie dyrekcja, ale my same zgłaszamy potrzebę podjęcia dodatkowej produkcji. Ja myślę, że takie właśnie postawy — może niezbyt efektowne i „romantyczne" — składają się właśnie na to, co nazywamy „patriotyzmem dnia codziennego".

Wacław Małecki: Sposób reagowania, a przede wszystkim uzewnętrzniania uczuć, są może nieco inne. Ale przecież wzorce życiowych postaw bierzemy przede wszystkim od naszych rodziców, z tradycji rodzinnej. Szkoła, organizacja młodzieżowa później już chyba tylko rozwijają i ugruntowują tę spuściznę patriotyczną, w jakiej wzrastaliśmy w domu, od dziecka. Ja na przykład nie przypadkowo jestem działaczem młodzieżowym pracującym w bardzo określonym środowisku: wyrosłem w rodzinie robotniczej, ojciec był kiedyś w KBW, stracił zdrowie w walkach z „Żelaznym". Matka była i jest działaczką PZPR. Moja postawa życiowa jest kolejnym etapem ewolucji świadomościowej i patriotycznej, jaką przeszła i dalej przechodzi nasza cała rodzina. Stąd tak wielkie znaczenie upatruję w prawidłowym funkcjonowaniu rodziny, przede wszystkim młodej rodziny.

Krystyna Dolecka: No dobrze, ktoś ci mógł opowiadać, jak walczył z bronią w ręku; a co ty będziesz opowiadał swoim dzieciom?

Wacław Małecki: Ja będę mówił o dniu dzisiejszym. Takim, jakim go zapamiętam. Choć nie twierdzę, czy może nie przerysuję nieświadomie troszkę tych moich wspomnień, nie uatrakcyjnię ich spoglądając wstecz przez pryzmat sentymentu za czasami młodości.

Krystyna Dolecka: A rozumienie słowa „patriotyzm" przez nasze dzieci będzie znowu trochę inne?

Wacław Małecki: Tak. Ale wróćmy lepiej do dnia dzisiejszego, do współczesnej młodzieży. Otóż zauważam od pewnego czasu, że u nas, w „Agromecie", młodzi pracownicy rzadko kiedy „płaczą", że za mało zarabiają. Natomiast irytują się przede wszystkim i wytykają nam — już tylko nieco starszym od nich kolegom — że nie zawsze organizujemy pracę w ten sposób, żeby można było dobrze pracować i przy tym — oczywiście — nieźle zarobić. To jest chyba znak czasu i oznaka sposobu myślenia tego najmłodszego pokolenia pracowników. I tutaj przypominam sobie pewne pytanie, jakie zadał ktoś na zebraniu: „Czy w naszym pokoleniu znajdzie się nowy Pstrowski?" Po długiej dyskusji zgodziliśmy się wszyscy, że nie, takiego samego, jak Pstrowski, nasze pokolenie chyba już nie wyda. Nie chodzi nam o problem zaangażowania, gorącej postawy, jaka cechowała tego człowieka. To jest rzecz oczywista. Ale zmieniły się warunki życia, pracy i inna jest romantyka sukcesu. Zależy nam dzisiaj nie na wykonaniu trzystu procent normy, ale na wykonaniu zadań codziennych, zadań jakościowych. I w tym kontekście, w tej współczesnej postawie patriotycznej, zaangażowanej, dostrzegamy — oczywiście — naszych współczesnych Pstrowskich.

Barbara Kwietniewska: Najważniejsze, żeby człowiek — niezależnie do jakiego pokolenia należy — identyfikował się z tymi ideami, które przed nim stają, jakie on przyjmuje i akceptuje.

Mirosław Derecki: A co wam najtrudniej się sprawdza w tej patriotycznej postawie dnia dzisiejszego?

Wacław Małecki: Chyba — brak konsekwencji w działaniu. I często — brak pełnej odpowiedzialności. Ileż razy boimy się szczerze powiedzieć: „ja zawiniłem!", a staramy się zwalić winę na „trudności obiektywne". Albo weźmy sprawę współzawodnictwa pracy w systemie brygadowym: jest w brygadzie czterech uczciwych pracowników i jeden leń, na którego, w końcu przecież, ci czterej pracują. Brygadzista, dla dobra brygady, ten fakt przemilcza.

Barbara Kwietniewska: To źle!

Wacław Małecki: Oczywiście, że źle. I właśnie chodzi o to, żeby nie krępować się, o takich postawach mówić sobie prosto w oczy. Nie piętnować z trybuny, ale mówić szczerze, po koleżeńsku na co dzień: „tak i tak — popraw się bracie, my ani ciebie kryć, ani robić za ciebie nie będziemy!"

Wrócę raz jeszcze do zagadnienia odpowiedzialności za to, co robimy i jak powinniśmy najlepiej pracować. Czy dość często zadajemy sobie to pytanie? Na ile nas stać na prawdziwy, rzetelny patriotyzm dnia dzisiejszego? Czy dajemy z siebie naprawdę wszystko, aby spełnić jego założenia?

Nasza dyskusja w „Kamenie" toczy się w okresie przedzjazdowym. I również w „Agromecie" młodzież bierze bardzo aktywny udział w dyskusjach przed VIII Zjazdem. Rozliczamy się na naszym własnym podwórku. Bo trzeba szukać błędów także u siebie, a nie tylko na zewnątrz. Widzicie, u nas w Kombinacie Maszyn Rolniczych jedno stanowisko pracy kosztuje około czterystu tysięcy złotych. Musimy go pilnować. Musimy się rozliczać z tego, jak je wykorzystujemy. To są pieniądze, to jest nasza praca i to jest nasze życie. To są te same problemy, jakie dostrzega starsze pokolenie, ale które dostrzega nie mniej realnie i młodzież. Tylko coś wam jeszcze powiem: często jest dla mnie sprawą trochę irytującą, że trzeba było dopiero dyskusji przedzjazdowej, żeby powiedzieć sobie dużo prawdy.

Są potrzebni

Maciej Podgórski

STANISŁAW Pełczyński, zanim w roku 1976 poszedł na emeryturę, długie lata pracował w uspołecznionym handlu miejskim jako urzędnik, którego firma kilka razy zdążyła zmienić nazwę i kilkanaście razy dyrektora.

Prawdopodobnie można się spełniać i w zawiłych dziejach handlu miejskiego, ale pan Stanisław akurat realizował się w tenisie ziemnym i bardziej wytrawni znawcy sportu w Lublinie wiedzą o tym doskonale. Zaś mniej wytrawni mogą poczytać w prasie lubelskiej na przykład z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, że Stanisław Pełczyński, pan w średnim wieku, zdobywał wtedy pierwsze miejsca w turniejach miejskich i wojewódzkich dla wyczynowców.

Jeszcze w 1970 roku, będąc 59-letnim mężczyzną, ograł wszystkich w singlu na mistrzostwach Lublina — zawodników dwa lub trzy razy od siebie młodszych

Nadeszła potem era Fibaka, powiały nieco przychylniejsze wiatry, tenis stał się w Polsce modny, i widzę dziś latem, jak w moim osiedlu na betonowym placu, zwanym boiskiem, uganiają się za białą piłeczką chłopcy z kilku generacji.

Stanisław Pełczyński ma obecnie 68 lat, 2640 złotych emerytury miesięcznie, dwoje dorosłych, samodzielnych dzieci oraz żonę, rzadki ostatnio gatunek gospodarnej pani domu, która potrafi mądrze podsycać ciepłotę rodzinnego ogniska.

Mieszkają przy Krakowskim Przedmieściu, w solidnym metrażu z dawnych czasów. Pan Stanisław rozkłada na stole mnóstwo wycinków prasowych o sobie z „tamtych lat", zdobyte odznaki, medale, puchary. Mówi o swoich przewagach sportowych.

Nie wygląda jednak, że ma zamiar dalszy ciąg życia spędzić w bamboszach, rozmyślając o minionej karierze zawodnika i działacza, któremu dzisiaj od czasu do czasu zdarza się jedynie wygrać turniej oldboyów. Bo oto Stanisław Pełczyński zgłosił niedawno w Wydziale Handlu i Usług ochotę reperowania naciągów rakiet tenisowych, odpowiednie zaświadczenie otrzymał i zamierza rozpocząć tę dość nietypową w Lublinie, trochę jakby deserową, działalność usługową dla ludności.

Szyldu jeszcze nie wywiesił, w gazecie się nie obwieścił, gdyż sezon reperacji naciągów rozpoczyna się dopiero pod koniec marca czy kwietnia, kiedy ludność odbijająca białą piłeczkę wyjmuje z pawlaczy zdezelowane rakiety i rozmyśla, co począć ze „sprzętem", który ma pozrywane i poluzowane struny, aczkolwiek metalową ramę w dobrym stanie.

Stanisław Pełczyński wraz z synem — inżynierem parę lat temu skonstruowali, a później ciągle ulepszali przyrząd do sprawdzania i regulacji naciągów rakiet tenisowych. Ogólną ideę urządzenia zaczerpnęli z amerykańskiego magazynu „Tennis", gdzie wszak były zdjęcia maszynerii wielkiej, skomplikowanej i drogiej (około 300 dolarów), służącej tym samym celom. Podobno w Warszawie działają punkty usługowe, pracujące przy pomocy takich maszynerii.

Pomysł Pełczyńskich polega na prostocie i niewielkich rozmiarach urządzenia, aczkolwiek sam proceder reperacji i regulowania naciągu jest żmudny. Tyle że nie ma specjalnego kłopotu z nabyciem strun, które „dają się kupić" w sklepach państwowych. I w ten oto sposób wygląda cały warsztat pracy Stanisława Pełczyńskiego, mieszczący się nawet na parapecie okiennym.

Pan Stanisław przekonał mnie, że tutaj nie ma przeproś. Każda struna, i poprzeczna, i podłużna, musi być wyregulowana pod jednakowym obciążeniem, na przykład 20 kg — naciąg twardy (dla zaawansowanych), 15 kg — miękki (dla początkujących). A ile zależy od właściwego, równomiernego naciągu rakiety — i jej trwałość, i skuteczność gry tenisisty...

* * *

— Który pan jest rocznik? — pytam Eugeniusza Bandurskiego.

— 1920.

— Pokolenie Kolumbów — powiadam. — I już na emeryturze?

— Pokolenie Kolumbów — powtarza i wzdycha. — Na rencie, bo zachorowałem na astmę, a to jest niedoora choroba — wyjaśnia, częstując mnie papierosem marki „Orient".

— Szyldu pan nie wywiesił...

— Nie wywiesiłem, bo nie przyjmuję roboty, przez miesiąc jeden autosyfon zreperowałem. Spodziewam się, że niedługo pojadę do sanatorium. Jak wrócę, rozkręcę działalność. Wtedy i szyld będzie.

Eugeniusz Bandurski przez długie lata był pracownikiem a potem kierownikiem uspołecznionej wytwórni wód gazowych, która produkowała w takich warunkach, że kierownik-niekierownik musiał umieć zrobić wszystko. W 1970 roku przeszedł na rentę i odtąd na umowy-zlecenia tej wytwórni reperował syfony oraz autosyfony, zarabiając tyle, żeby nie stracić prawa do renty.

Toteż wszystkie potrzebne narzędzia ma pan Eugeniusz w komplecie, brak mu tylko małej tokarenki. Posiada także części i detale do autosyfonów, skupował okazyjnie przez parę lat w Polsce i gdy był na Węgrzech czy w Czechosłowacji. Szykował się bowiem do otwarcia małego interesiku i wiadomość o nowych możliwościach spadła mu jak z nieba.

Co to są za narzędzia? O proszę: śrubokręty, rozmaite kluczyki, piłki, imadełko. Wszystko w pudełku na szafie. Jeden kluczyk szczególny, pomysłu pana Eugeniusza, nadzwyczaj poręczny. A tokarenka przydałaby się do przerabiania gumowych uszczelek od autosyfonów czeskich na uszczelki montowane w autosyfonach polskich, czego rzadko kto podejmie się w całej Polsce, zaś naszych uszczelek bywają braki.

W branży naprawy autosyfonów w ogóle trzeba dobrze ruszać głową i na przykład pan Eugeniusz z klucza od windy potrafi zrobić klucz, którym da się wykręcić gniazdko mocujące nabój autosyfonu. Więc gdy ktoś zgubi klucz oryginalny — jest rada.

Tylko że dużej firmie takie partaniny nie opłacają się. Tu kalkulacja, tam narzut i klient nie zechce reperować autosyfonu, bo za drogo, i jeszcze będzie zemścić.

Eugeniusz Bandurski daje przykład z innej dziedziny. Zepsuła mu się membrana w piecyku gazowym. Przyszedł mechanik z zakładu uspołecznionego, zreperował i taki wystawił rachunek. Oglądam rachunek: wymiana membrany (odkręcenie paru śrubek — komentuje pan Eugeniusz) — 62 zł, membrana — 10 zł, regulacja piecyka — 32 zł, dwie uszczelki — 4 zł, dojście — 55 zł, telefon zakładu — 325-87, kierownik zakładu — Henryk Reszka. Razem 163 zł, czyli granda...

Pan Eugeniusz wychodzi z założenia, iż za godzinę pracy przy autosyfonie można wziąć najwyżej 30 złotych plus części. To wszystko. Renty ma ostatnio 2200 złotych miesięcznie, żona pracuje jako personalna, mają mieszkanie na „starym" LSM, są jako tako urządzeni.

— Czy panu chodzi o pieniądze? — pytam.

— Dla rencisty każdy grosz jest ważny, ale mnie idzie o to, żeby na rencie nie zgnuśnieć. Bo najgorsze, co człowieka może spotkać, to gdy on przestaje czuć się potrzebny.

Eugeniusz Bandurski oblicza, że obecnie jest w Lublinie około pięciu tysięcy autosyfonów. Co najmniej.

* * *

Roman Winkler jeden z pierwszych

Dokończenie ze str. 1

PAŁACOWE MARZENIA

miaństwa na tych terenach była czymś wcale nie egzotycznym.

W 1944 roku w pałacu stacjonowało wojsko, później wprowadziła się Gminna Spółdzielnia i kilka rodzin. Wszyscy ci użytkownicy traktowali obiekt jako locum przejściowe, a wiadomo, jakie mogły być tego konsekwencje dla samego budynku. Powstaje jednak pytanie, dlaczego pałacem nie zainteresował się np. wojewódzki konserwator zabytków w Lublinie?

Odpowiedź jest dziecinnie prosta: jeszcze w połowie lat pięćdziesiątych dzieło Pawła Fontany (?) nie figurowało w rejestrze zabytków, czyli, można się domyślać, w Lublinie nie wiedziano o istnieniu czegoś takiego we wsi Serebryszcze, oddalonej od Chełma zaledwie 7 km. Dopiero w 1955 roku dr Kazimiera Kutrzebianka o d k r y ł a pałac podczas zbierania materiałów do katalogu zabytków powiatu chełmskiego i poinformowała o tym konserwatora, co oczywiście nie zmieniło niczego w sytuacji ładnego, harmonijnie skomponowanego obiektu. Takich i temu podobnych zabytków było na Lubelszczyźnie sporo — przy jednoczesnym braku instytucji, które zechciałyby partycypować w remoncie konkretnych budowli, aby przejąć je następnie w użytkowanie. Tylko obiekty w dobrym stanie znajdowały gospodarzy, przede wszystkim w resortach oświaty i kultury, w służbie zdrowia i w spółdzielczości gminnej, co nie zawsze zresztą wychodziło im na zdrowie. GS-wy z reguły wykorzystywały zabytki na magazyny, gromadząc w nich rzeczy przeróżne, żrące i cuchnące, natomiast szkoły nie kwapiły się z przeprowadzaniem systematycznych remontów, choć często „adaptowały" pałacowe przestrzenie do własnych potrzeb. Niejeden cenny zabytek został też sponiewierany przez Państwowe Gospodarstwa Rolne.

Przyczyny takiego stanu rzeczy tkwiły w świadomości społecznej lokalnych środowisk, które w zabytkach widziały tylko stare i w aktualnych warunkach raczej niefunkcjonalne budowle. Cały zespół tych wartości, które stanowią o randze dawnej architektury w kulturze narodowej, niknął z pola uwagi wspomnianych środowisk i instytucji. W skali ogólnopolskiej kwestia ochrony zabytków w pierwszym dziesięcioleciu po wyzwoleniu przedstawiała się zresztą dość paradoksalnie. Z jednej strony państwo łożyło setki milionów złotych na rekonstrukcje staromiejskich zespołów Warszawy i Gdańska, zaskakując tym całą Europę, z drugiej zaś — nie było w stanie powstrzymać dewastacji tych zabytków, które znajdowały się we wsiach i małych miastach.

Obojętny, lub bezwzględnie utylitarny stosunek do tradycji architektonicznej, obserwowany w ośrodkach prowincjonalnych, był jednak, uczciwie rzecz biorąc, czymś zrozumiałym. Byt, jak wiadomo, określa świadomość, a ten byt w pierwszej dekadzie powojennej układał się na wsi — a więc w obszarze wypełnionym właśnie licznymi dworkami, pałacami, zameczkami — w sposób pokrętny, wielce skomplikowany pod względem społeczno-ekonomicznym, niespokojny. W Serebryszczu, przykładowo, istniała wówczas spółdzielnia produkcyjna, założona przez kilka rodzin i posiadająca ogółem zaledwie 150 ha ziemi, które i tak z trudem dawały się obrobić. Gospodarstwo o takich mocach nie mogło nawet marzyć o remoncie pałacu, choćby otrzymało istotne wsparcie ze strony państwa. A zresztą: gdyby spółdzielcom udało się jakimś cudem wykonać takie zadanie, to na co przeznaczyliby rozległy, było nie było, obiekt, jeśli wszystkich razem, łącznie z dziećmi, pomieściłaby jedna z mniejszych sal pałacu?! Lista takich przykładów byłaby bardzo długa, nie ma o czym mówić. Remontowanie podobnych obiektów wyłącznie ze środków konserwatorskich także nie wchodziło wówczas w rachubę: ze względu na skromne konto owej instytucji, ale także dlatego, że potencjalni użytkownicy rzadko gwarantowali racjonalną eksploatację dworu czy pałacu.

Na początku lat sześćdziesiątych pojawił się nowy element sprzyjający niszczeniu zabytków w tzw. terenie i hamujący przejmowanie opuszczonych budowli przez przedsiębiorstwa i instytucje związane ze wsią czy małymi miastami. Tym razem miał on posmak wyłącznie kulturowy, a wabił się „nowoczesność". Zamożna spółdzielczość gminna porzucała obiekty zabytkowe, aby wznosić „nowoczesne" pawilony handlowo-gastronomiczne, które miały świadczyć o jej prestiżu i... miejskich horyzontach! Bo modelem tego nowego budownictwa były geometryczne, miejskie bloki osiedlowe — nieszczęsne potomstwo „Karty Ateńskiej". W identycznej perspektywie widziały swoją przyszłość budowlaną spółdzielnie produkcyjne, Państwowe Gospodarstwa Rolne i gospodarze indywidualni. Naturalnie, w oficjalnej argumentacji posługiwano się wyliczanką ekonomiczną, dowodząc, że wzniesienie nowego budynku kosztuje taniej, niż remont sfatygowanego zabytku, co rzadko okazywało się prawdą. Ale też nie o prawdę i pieniądze tu szło, lecz o spełnienie pewnych wyobrażeń o życiu godnym i szczęśliwym, czyli miejskim, do którego w tym właśnie okresie zaczęły ciągnąć tysiące wiejskiej młodzieży, co z czasem musiało doprowadzić do wyjałowienia tych środowisk z jednostek najbardziej dynamicznych, społecznie wartościowych. Ponieważ jednak nie wszyscy mogli przenieść się do miasta, miniaturę tegoż sprowadzono w opłotki (z drutów zbrojeniowych).

Trudno dziś ustalić dokładnie, ale nie wykluczone, że ten klimat miał pewien wpływ na przekreślenie szansy, jaka pojawiła się przed pałacem w Serebryszczach w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, kiedy to ówczesny konserwator zabytków w Lublinie próbował namówić Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Prezydium WRN na przejęcie obiektu na dom pomocy społecznej, obiecując wzamian sfinansowanie dokumentacji i odbudowy pałacu w stanie surowym. Sprawa rozwijała się pomyślnie — do momentu zmian personalnych we wspomnianym wydziale, których konsekwencją było odstąpienie służby zdrowia od zainicjowanego już przedsięwzięcia. Może nowy zastępca kierownika owego wydziału zapragnął wznieść dom n o w o c z e s n y?

Sytuacja zabytków opuszczonych lub zaniedbanych przez właścicieli z urzędu wyraźnie polepszyła się około 1973 roku. Fakt ten zwykle wiąże się z akcją propagandową Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz wojewódzkich konserwatorów zabytków, która — szeroko poparta przez środki masowego przekazu — miała doprowadzić do pozyskania użytkowników dla niemal 400 obiektów architektury. Jeszcze dzisiaj pojawiają się w gazetach tytuły: „Zabytki do zagospodarowania społecznego", „Zabytki do wzięcia" czy „Giełda zabytków"...

Nie pomniejszając w niczym wielkiego i realnie owocującego wysiłku wspomnianych instytucji, warto wskazać na głębsze podłoże powodzenia owej akcji. Otóż rozpoczęła się ona w momencie wyraźnego przyspieszenia w gospodarce krajowej, które z kolei podwyższyło standard indywidualnej

zgłosił się do Wydziału Handlu i Usług z dokumentami — otrzymał zaświadczenie nr 2. Do 1977 roku, przeszło dwadzieścia lat, prowadził firmę prywatną „Elektromechanika — Chłodnictwo" przy ulicy Krótkiej.

Należy do tych rzemieślników z tradycjami i z honorem zawodowym, którzy nie potrafią swej roboty wykonać źle. Kiedy jeszcze miał firmę, wpadł na pomysł, aby droższe usługi świadczyć klientom, pobierając opłatę... w systemie ratalnym. I powiada, że nigdy nie zawiódł się na uczciwości tych, co spłacali raty. Sprawa zresztą głośna w Polsce, o Winklerze pisała prasa lubelska i centralna, a wycinków tych widzę pełen zeszyt.

Zachorował i mając 56 lat, w 1977 roku, przeszedł na rentę (2200 złotych miesięcznie). Musiał zdać lokal firmy, bo mieszka w innym miejscu. Myślę, iż te dwa lata, kiedy jedynie pobierał rentę, a nie mógł pracować, były dla Romana Winklera najcięższe, tym bardziej, że na ostatek przyszło mu żyć w samotności.

Teraz na murze kamienicy, w której mieszka pan Roman, wisi szyld mówiący, iż Roman Winkler naprawia urządzenia chłodnicze. Interes idzie nieźle, choć ceny niższe od tamtych z czasów firmy i zakres usług węższy. „Nie mogę brać tyle, co dawniej, bo nie mam prawa udzielać gwarancji, tylko honorem swoim zawodowym świadczę" — powiada.

Przeważnie jeździ do klientów; niektóre części mechaniczne pomogą mu dorobić koledzy. Klej wynalazł już dawniej taki, że każde tworzywo skleja na amen. Demonstruje mi rewelacyjność owego kleju i faktycznie — wszystko się zgadza.

— Panie Winkler, czy panu chodzi o pieniądze? — zadaję standardowe pytanie.

— To jest dla mnie duża przyjemność, gdy ja siedzę i robię, a nie chodzę po ulicach jak pies — odpowiada Roman Winkler.

*

Muszę obecnie zbilansować ten artykuł i bardzo się boję, że powiem sporo niepotrzebnych słów publicystycznych i humanistycznych... Ale postaram się streszczać.

Rozporządzenie Rady Ministrów z 18 maja 1979 roku zezwala emerytom i rencistom na wykonywanie określonych rodzajów usług dla ludności bez utraty prawa do pobierania emerytury lub renty, czego dotychczas nie było, a co mizerną sytuację w zakresie usług wzbogaca o nowe możliwości.

Warunkiem jest, aby rencista lub emeryt wykonywał usługi osobiście; bez zatrudniania pracowników; we własnym mieszkaniu (oznakowanym na zewnątrz szyldem) lub w miejscu wskazanym przez klienta; legitymował się w pewnych przypadkach udokumentowanymi kwalifikacjami zawodowymi; uzyskał odpowiednie zaświadczenie właściwego organu administracji, zarządzającego sprawami usług.

Rozporządzenie Rady Ministrów jest z konieczności dokumentem ogólnym, choć wachlarz usług wymienionych w załączniku — dosyć szeroki i szczegółowy. Od naprawy ołówków automatycznych po roboty murarskie. Lokalna administracja próbuje się znaleźć, gdy ktoś spyta, dlaczego do naprawy parasoli potrzeba kwalifikacji zawodowych udokumentowanych, a do naprawy rowerów nie potrzeba, albo czy widziano kiedy murarza bez pomocnika?

Nie wiem, jak w innych miastach, ale w Lublinie ta forma usług przyjmuje się ciężko. W ciągu pół roku zgłosiło się zaledwie dwadzieścia osób chętnych, w tym najwięcej krawcowych (szycie odzieży lekkiej), choć informacja na linii: Wydział Handlu i Usług — prasa codzienna — społeczeństwo była szybka i w miarę możliwości sprzed pół roku — wyczerpująca.

Ostatnio powoli wyjaśniają się wątpliwości. Od 30 października 1979 roku obowiązuje rozporządzenie ministra finansów, że m. in. emeryci i renciści, świadczący usługi na omawianych wyżej zasadach, są zwolnieni od podatku obrotowego i dochodowego; to ostatecznie reguluje sprawę najdrażliwszą, a pierwotnie niedopowiedzianą.

Co się zaś tyczy cen za tego rodzaju usługi — wygląda, że funkcjonują umowne (wedle ugody klienta z rzemieślnikiem). Nie bardzo natomiast wiadomo, jakie możliwości ma klient, gdy mu wykonawca spartoli robotę.

W każdym razie pokazane przeze mnie trzy przykłady świadczą, iż ta bardzo pożyteczna w zamierzeniu dziedzina usług dla ludności może stać się domeną ludzi rzetelnych i kompetentnych, których status emeryta czy rencisty nie musi zepchnąć na margines społeczeństwa, albowiem mogą oni okazać się społeczeństwu potrzebni i tego właśnie oczekują.

Rozporządzenie Rady Ministrów otworzyło dla nich możliwości. Obecnie dużo zależy, na ile elastyczne okażą się władze lokalne. Nie ma bowiem przepisu, który by przewidywał wszystkie życiowe przypadki. A poza przepisami istnieje zdrowy rozsądek. Przepraszam, jeśli zabrzmiało to niezręcznie.

Oczy wielkich mistrzów

EMERYTOWANY szef kliniki okulistycznej, przy Instytucie Kształcenia Lekarzy w Budapeszcie, prof. Pal Weinstein, ma osobliwe hobby. Od blisko pół wieku zajmuje się w wolnych chwilach badaniem wpływu jaki na dzieła wielkich malarzy miały anatomiczne i fizjologiczne cechy ich wzroku.

Profesor, który jest miłośnikiem malarstwa wychodzi w swoich badaniach z założenia, że oczy są jedynie narzędziem, które umożliwia powstawanie obrazów w korze mózgowej. Twierdzi on, iż ludzie o zbliżonych lub nawet identycznych cechach wzroku widzą te same przedmioty i obrazy różnie. Nie zmienia to jednak faktu, że określoną formę lub barwę odbiera inaczej człowiek starszy i młodszy, zdrowy i chory, krótkowidz i dalekowidz.

„Twórcy miniatur — pisze profesor — byli bez wyjątku krótkowidzami. Patrząc z bliska dobrze wszystko widzieli nawet w najstarszych latach. Stąd też ich zamiłowanie do detali. Przy zwiedzaniu galerii w Uffizi zwróciłem uwagę na obraz Mantegna „Skalna Madonna". W tym momencie dozorca wręczył mi lupę. Dopiero za jej pomocą mogłem w drugim planie zobaczyć namalowane z ogromną pieczołowitością postacie, które bez tego powiększenia byłyby zupełnie niewidoczne".

W związku z malarstwem impresjonistycznym prof. Weinstein stwierdził, że statystycznie rzecz biorąc ok. 60 proc. ludzi ma wzrok normalny, 25 proc. jest dalekowidzami a 15 proc. krótkowidzami. Impresjoniści należeli z reguły do tej ostatniej grupy. Przykładem może być Cezanne, Monet, Pisarro oraz Degas i Renoir, którzy byli prawie ślepi. Jednym z najciekawszych odkryć Pal Weinsteina jest stwierdzenie, że wielu mistrzów cierpiało na daltonizm. Malarze ci tworzyli z reguły obrazy o mniejszej intensywności barw, a więc melancholijne w nastroju, jak np. Constable, który nie odbierał koloru czerwonego i zielonego. Barwy na jego obrazach mają jesienną tonację, chociaż on sam twierdził, że nie cierpi tej pory roku.

Starzejąca się soczewka oka nie odbiera pełnej intensywności koloru niebieskiego i fioletowego natomiast widzi „mocniej" barwy czerwone i żółte. Tym można by wytłumaczyć to, że dzieła np. Renoira i Monet'a mają więcej czerwieni chociaż ten ostatni w młodszych latach chętnie posługiwał się bielą i błękitem. Po operacji oka, gdy wzrok mu się poprawił, często korygował swoje obrazy wprowadzając więcej odcieni żółci. Zjawisko to można zaobserwować również na ostatnich obrazach Tycjana.

Człowiek cierpiący na jaskrę widzi wokół źródła światła swoistego rodzaju aureolę. Istnieją podstawy aby sądzić, że ta choroba była jedną z przyczyn samobójstwa Van Gogha. Kilka jego ostatnich obrazów nosi wyraźne znamiona zakłóceń jakie jaskra wywołuje w procesie widzenia.

Do ciekawych wniosków można dojść również obserwując dzieła El Greca. Na niemal wszystkich jego obrazach figury ułożone wertykalnie są skrzywione i „uciekają" do rogów blejtramu. Okuliści zaś wiedzą dobrze, że ludzie cierpiący na astygmatyzm gdy kazać im nakreślić koło, rysują elipsę.

Znawcy dzieł El Greca twierdzą jednak, że wszystkie postacie malowane według modeli nie noszą tej cechy. Istnieją również dowody, iż El Greco nie cierpiał na żadną chorobę oczu. Tak więc owo przekrzywienie było raczej wynikiem jego koncepcji artystycznej „wewnętrznego sposobu widzenia".

Interpretację zależności pomiędzy anatomicznymi i fizjologicznymi cechami oczu a ich wpływem na dzieła mistrzów należy traktować raczej jako ciekawostkę. Podobnie zresztą czyni to sam prof. Weinstein, który przy okazji swojego dociekliwego hobby obejrzał niemal wszystkie bardziej znane w świecie galerie.

(kot)

egzystencji obywateli i rozbudziło nie występujące dotąd aspiracje materialne i kulturowe o charakterze prestiżowym. Ludzie zaczęli „przebijać się" wyposażeniem mieszkań, geografią urlopów, markami posiadanych samochodów. Znacznie wzrósł popyt na oryginalne dzieła sztuki, które zaczęły wypierać reprodukcje. Niezwykle szerokich rozmiarów nabrało zainteresowanie nauką języków obcych, stymulowane nie tylko koniecznościami zawodowymi słuchaczy rozlicznych kursów i lekcji prywatnych (200 zł za godzinę angielskiego). W powszechne niemal użycie znów weszły wizytówki, w niektórych środowiskach zaczęto rekonstruować (częściej: preparować) rodzinne drzewa genealogiczne. Na najwyższym piętrze tej prestiżowej gonitwy pojawiły się: zabytkowy dworek szlachecki i pałacyk ziemiański — najbardziej spektakularne oznaki pozycji społecznej ich właścicieli.

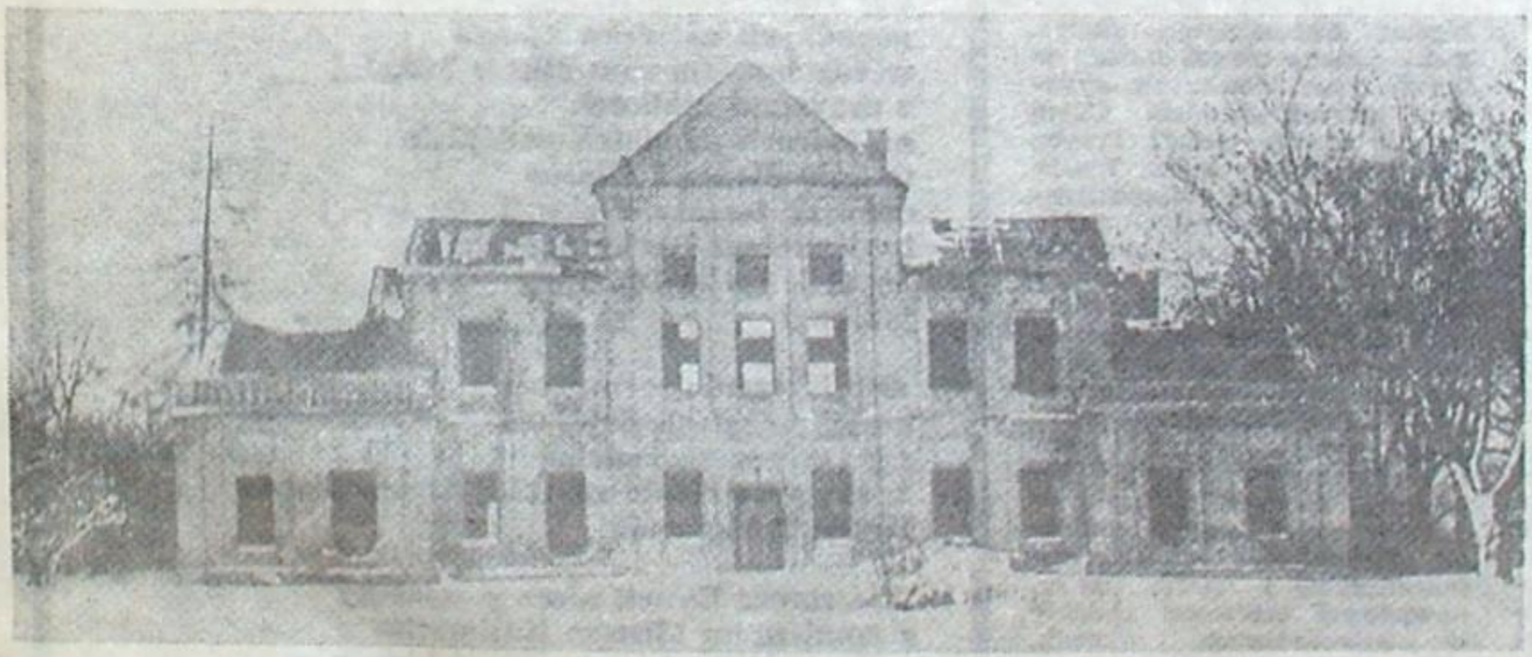

Ciągoty tego rodzaju wystąpiły również poza sferą prywatną. Dowodem marzenia — dziś już stonowane — nowych województw o własnej scenie dramatycznej, filharmonii, o własnym oddziale związku literatów czy plastyków — przy jednoczesnym zaniedbywaniu bazy działalności kulturalnej w małych ośrodkach.

W niektórych regionach kraju, na przykład w Wielkopolsce, spotęgowały się przecież aspiracje tradycyjne, od dawna związane z respektowanym tam modelem życia, ale dla wschodnich województw jakby egzotyczne. Największe swoje osiągnięcia w ochronie zabytków poznańskie zjednoczenie PGR odnotowało co prawda w mijającej właśnie dekadzie, ale już 15 lat temu zdobyło się na urządzenie w Czempinie szkółki przygotowującej materiał dla starych parków, a więc dla zabytków szczególnie u nas zaniedbanych. Owa szkółka, własne biuro dokumentacji w Naramiewicach, dwie ekipy dla bieżącej konserwacji drzewostanu — to wszystko przyczyniło się do tego, że 60 proc. parków znajdujących się wśród 280 tys. ha użytków rolnych zjednoczenia jest już po renowacji. Poznańskie przedsiębiorstwo, obejmujące trzy województwa, jest zresztą przykładem wyjątkowej troski o zabytki, w czym zapewne spora zasługa dyrektora Jerzego Małeckiego. Dodajmy, że w obrębie zjednoczenia znajduje się 160 obiektów rezydencjonalnych (pałaców, zamków), remontowanych konsekwentnie, planowo.

Zamożność społeczna i związane z nią aspiracje wyższego, jak by spojrzeć na sprawę, rzędu — oto realne podłoże pewnego powodzenia ministerialnej akcji pod kryptonimem „Zabytki do wzięcia". Oczywiście, do owego sukcesu przyczyniło się ponadto pokaźne wsparcie finansowe, jakie MKiS udziela osobom czy instytucjom deklarującym chęć wyremontowania i zagospodarowania zabytków. Nie można też przeoczyć faktu, że pałace czy zamki znajdują się na ogół w miejscowościach atrakcyjnych pod względem krajobrazowym, a uzyskanie lokalizacji na własny dom wypoczynkowy lub ośrodek szkoleniowy w modnych miejscowościach staje się coraz trudniejsze, czy wręcz niemożliwe dla wielu zakładów pracy. Klucz do zrozumienia istoty zjawiska tkwi jednak, w moim przekonaniu, w cytowanej już prawdzie o związku bytu ze świadomością. Dodatkowo poświadcza to przykład Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Serebryszczu.

Do niedostrzeganego wcześniej pałacu przystąpiła w 1977 roku, wówczas, kiedy była już spółdzielnią zamożną, liczącą ponad 120 członków i 1500 ha ziemi, chowającą owce, 2000 sztuk bydła i sprzedającą rocznie tyle samo trzody chlewnej. Wówczas, kiedy dniówka jej członków osiągnęła wartość 200 zł, roczna produkcja — 25 mln zł, a rezerwa finansowa — 10 mln zł. Nie bądźmy jednak naiwni: spółdzielcy z Serebryszcza zainteresowali się nie tyle zabytkiem, co starym budynkiem o krzepkich jeszcze murach, który po remoncie mógłby pomieścić biura, stołówkę pracowniczą, przedszkole, jakiś klub, może nawet bibliotekę, a więc rzeczy bezpośrednio przydatne i niemożliwe do realizacji w formie samodzielnej, nowej inwestycji (przepisy, ograniczenia, zarządzenia). Po trzech latach zabiegów udało im się wprowadzić do planu budynek mieszkalny dla 18 rodzin, właśnie wykańczany, lecz o socjalnym nikt wyżej nie chciał słyszeć. Wtedy właśnie zwrócili uwagę na pałac, a i to bez entuzjazmu, ponieważ całe przedsięwzięcie zdawało się przekraczać ich siły. Trzeba było dyskretnej inspiracji z Chełma, aby sprawa ruszyła do przodu — przy pomocy własnej brygady remontowej, odpowiednio rozbudowanej i, jak się okazało, dającej sobie nieźle radę pod kierunkiem technika, Marka Obołończyka. Po otrzymaniu dotacji z puli wojewódzkiego konserwatora zabytków, pokrywającej połowę ogólnych kosztów remontu obiektu i renowacji parku (ponad 13 mln zł), spółdzielcza brygada tak sprawnie weszła na pokoje, że już w przyszłym roku pałac przyjmie nowych gospodarzy.

Najciekawsze przy tym, że uzasadniając obecnie swoje zainteresowanie obiektem, spółdzielcy z Serebryszcza wspominają mimochodem o zabytku, o potrzebie ratowania zabytków. Mówią też, że chętnie urządziliby kort tenisowy w parku, ale ponieważ w samym Chełmie takiego czegoś, zdaje się, nie ma, więc...

Ireneusz J. Kamiński

DROGOWSKAZY

Do szeregu osobistości ze świata kultury, nauki i sztuki zwróciliśmy się z prośbą o wypowiedzi na temat zasad, którymi kierują się w życiu, pracy twórczej i działalności społecznej. Zależy nam na uzyskaniu czegoś w rodzaju auto-komentarza ludzi, którzy dali się poznać od strony swoich osiągnięć, przy czym nie chodzi nam o otrzymanie „przepisu na sukces", lecz orientacji ustalającej kierunek życiowych zamierzeń. Prosiliśmy o wypowiedzi krótkie, by tym wyraźniej wyszła na jaw generalna linia postępowania.

W naszej ankiecie dotychczas zechcieli wziąć udział: historyk filozofii i estetyki, profesor doktor Władysław Tatarkiewicz, dyrektor Muzeum Narodowego, profesor doktor Stanisław Lorentz i artysta grafik Szymon Kobyliński, oraz profesor doktor Włodzimierz Sedlak. Obecnie zamieszczamy wypowiedź Józefa Szajny, jednego z czołowych przedstawicieli współczesnej plastyki i teatru, dyrektora Teatru „Studio" w Warszawie.

JÓZEF SZAJNA

TWORZENIE wartości tłumaczy mi się jako konieczność i prawidłowość postępowania ludzkiego — nie tylko artystycznego. Unikam sformułowań w stylu „artysta a społeczeństwo", bo brzmi to tak, jakbym nie był jednym z wielu. Nie obstaję przy tradycji, bo ją w sobie noszę. Wyróżnikiem człowieka staje się jego wnoszenie rzeczy pożytecznych dla innych ludzi, a nie chęć sukcesu, który stał się możliwy i powszechnie dostępny. Ciekawość rzeczy sprowadza nas często w rejony nieznane, sięga prawdopodobieństwa. Chęć poznawania pogłębia w nas samych tajemnicę istnienia, staje się progiem, poza którym istnieje tylko meta-czas, wiara w życie niedostępne codzienności. Wizje te są na tyle konstruktywne, co i pełne alogiczności, graniczą z ryzykiem osobistego wyboru. Wiedza nie utożsamia się tu z doświadczeniem, a koncepcja z realizacją. Między chaosem a naszym „ratio" zostaje postawiony znak równości zmagających się sił i świadomość przemijalności struktur myślowych i formalnych.

CAF — Rybczyński

Wspomnienie

Zbigniew Kośmiński

WSZYSTKO widział zawsze w bryłach i barwach. Wydarzenia miały dla niego sens tylko wtedy, gdy mógł wyobrazić sobie kształty i kolory. Obrazy prześladowały go od najwcześniejszego dzieciństwa.

Oto najdawniejsze jego wspomnienie: szerokie, białe schody z niską kolumnadą po bokach, zwężające się ku górze. Na ich szczycie stała błękitnawa, nieruchoma postać kobieca, widziana z dołu, wyniosła i pogardliwa w zastygłej posągowości i zimnej kolorystyce. Skądś, z lewej strony padało światło — dyskretne, przyćmione, rozjaśniające ten obraz. Co on oznaczał? Edward z początku nie umiał sobie wytłumaczyć jego sensu, po prostu nie orientował się wystarczająco w tamtej sytuacji. W wyobraźni pozostał jednak na zawsze widok tych zwężających się ku górze białych schodów z toczonymi kolumienkami balustrady i z błękitną postacią na szczycie.

Wspomnienie to wzbogacał potem licznymi szczegółami, które sam tworzył. W myślach dodawał fasadę pałacu z wydłużonymi, ostrołukowymi oknami, nieregularne, zielone walce jakichś wysmukłych drzew — tuj czy cyprysów — parasolowate kształty lip pochylających się nad kolumnadą schodów. Później w przypływie dziecięcej fantazji zapalił kuliste, żółte, rozdrgane gorącem słońce i umieścił na niebie wielopiętrowe, złociste obłoki. Czasem w tym obrazie zamieniał dzień na noc. I oto gasił biel schodów, błękitna postać szarzała, drzewa ciemniały. Zamiast słońca wstawiał złote, chłodne kolisko księżyca w pełni i iskierki gwiazd na granatowym, prawie czarnym tle. Kiedy indziej starał się oświetlić schody różowawą poświatą świtu lub pomarańczowo-czerwonymi błyskami zachodu. Jeszcze później tworzył syntezę tych szczegółów: rozmywał kształty i barwy, usiłował tylko wydobyć specyficzny nastrój — wzgardliwą obojętność różnobarwnych brył geometrycznych.

Wreszcie odczytał ukryte znaczenie tej niemej i statycznej sceny. Prawie do wojny mieszkał wraz z rodzicami w budynku szkolnym. Któregoś dnia musiał, jako małe jeszcze dziecko, zawędrować samotnie pod dwór, choć było tam od szkoły dość daleko. Schody prowadziły na podjazd okolony także w rzeczywistości różnymi drzewami. Błękitną postacią była na pewno pani dziedziczka lub starsza panienka. Tylko okna naprawdę były prostokątne.

Może pod wpływem opowiadań rodziców zmniejszył w tym obrazie dwór, trochę go przesunął w prawo i z drugiej strony umieścił jeszcze obskurne czworaki — długi, parterowy budynek z szeregiem drzwi, niezgrabny klocek, którego widoczny był tylko fragment.

Po pewnym czasie w oknach czworaków postawił czerwone pelargonie i ożywił w ten sposób trochę tę szarą nijakość, odbijającą zgrzytliwym dysonansem od biało-zielonego, wspaniałego pałacu. Teraz z kolei zabrakło mu barwnego odpowiednika z prawej strony obrazu, kolorystycznego rytmu. A konieczność taka nasuwała się nieodparcie. Postanowił więc uzupełnić ten brak, długo jednak nie wiedział, jak to zrobić. Myślał między innymi o kwitnących, purpurowych różach w ogrodzie, ale nie harmonizowałyby z chłodem tej części obrazu i smutkiem czworaków.

Któregoś dnia wpadł na nowy pomysł. Powrócił do geometrycznej koncepcji z dodatkiem długiego klocka z lewej strony, z czerwonymi punkcikami ni to pelargonii, ni odblasku zachodzącego słońca, może jeszcze czegoś innego w ledwie naszkicowanych otworach małych okienek. Czym jednak ożywić pałac? Trzeba dać jakiś gorący kolor. Wtedy nasunęła mu się nieoczekiwanie ta właśnie myśl — pożar dworu. To on może się odbijać krwistymi refleksami w szybach czworaków. Powinno tu być wiele odcieni czerwonej barwy. Nie odbiegał przy tym od owej geometryzującej wizji. Linie budynków zarysował jednak ostrzej, jednolite płaszczyzny rozbił na mniejsze niespokojne bryły, w prawej części obrazu umieścił nieregularne, krwiste, pomarańczowe i żółte jęzory, powiększył czerwone akcenty w czworacznych oknach, wszystko zaś spowił w czarno-szary całun dymu. Błękitna postać na szczycie schodów poróżowiała i jeszcze bardziej znieruchomiała w tragicznym geście rozpaczy. Obraz stał się straszny. Edward poczuł wewnętrzny dreszcz i zaczął płakać. W tym dramatycznym kształcie wyobrażenie to wryło mu się mocno w pamięć.

Nigdy nie ośmielił się namalować tego naprawdę. Obraz był tylko grą wyobraźni.

Fragment powieści „W barwnej mgle" przygotowywanej do druku.

Kamena str. 6

Stefan Wolski

* * *

Książnicy Miejskiej w Toruniu

Jes.
jak kamienny las
ramionami ulic staranny
łukami latarń nocą
od wygaszeń oszczędny
ciemniejący wstydliwie
gdzie jeno wilcze ślepia aut
brodzą w naszym przybyciu

Teraz biały księżyc srebrzystym gorsem
błyska pod oknami „HELIOSU"
w którym nikną nasze walizy zmęczenia
zza ciężkich salw mroku
olśniewa

Czy rano będzie triumf
pogodnych uścisków Słońca
wtedy bowiem sam Mistrz Mikołaj
z przystani bibliotek
na palcach pamiątek podejdzie
w imię Słońca i Miasta
otworzy tematy dyskusji
trzy wieże z Herbu przywoła
napoi je rzeką Ojczyzny
jak ongi

Oto iskrzenia rozmyślań
kroków ekstaza dojutrna
czy tych co na codzień
krążą przy cieple wielkiej Almae Matris
Matris Torunensis

Wieczorem Rynek nieco powielany
z domicilium Mistrza Kalimacha
z cieniami duchów królów i biskupów
w kielichu epoki wzniesiony
na zdrowie starych dziejów

Oto znicze pośpiechu w programach i mowach
one już z mojej epoki
zdobytego księżyca

Witaj Toruniu

pod skrzydłami jasnej Książnicy
rozwijamy bukiety poezji i prozy
my
co żyjemy

W obronie adiunktów

Janina Opieńska-Blauth

RESORT Szkolnictwa Wyższego przekazał do dyskusji w środowiskach akademickich „Projekt perspektywicznego modelu Szkoły Wyższej". Autorzy projektu sugerują większą elastyczność w programowaniu różnych kierunków kształcenia w poszczególnych uczelniach w zależności od potrzeb gospodarki narodowej i proponują kilka profili dla studiujących, uwzględniając ogólne, zawodowe i naukowe przygotowanie pracowników do prac badawczych.

Henryk Rot („Kultura" nr 27/79) w krytycznych uwagach w stosunku do projektu przeciwstawia się tak znacznemu uzależnieniu pracy szkół wyższych od wąskich i zmieniających się planów w gospodarce narodowej, prawie absolutnej władzy rektorów w dokonywaniu doraźnych zmian w kierunkach kształcenia i sprawach personalnych oraz ograniczeniu demokratycznych form w zarządzaniu uczelnią (senat, rady wydziałowe, komisje senackie), występując ponadto przeciw zbyt uniformistycznemu podejściu do badań naukowych i wiązania ich z pełnym cyklem wdrożeniowym, trudnym do wprowadzenia na kierunkach humanistycznych.

Wiodącym tematem mego artykułu będą sprawy związane tylko pośrednio z tezami projektu. Chciałabym mianowicie sformułować kilka uwag o limitach etatowych i przewidywanej w związku z nimi rotacji na szczeblu adiunktów.

Pisał o tym Sławomir Popławski w „Życiu Literackim" (nr 27/79) pt. „Nauka i rotacje". Według autora ukaże się w najbliższym czasie zarządzenie resortowe objęcia rotacją nie tylko, jak dotychczas, asystentów, którzy nie dotrzymali terminu w uzyskaniu pierwszego stopnia w hierarchi naukowej — doktora, ale i adiunktów, którzy nie habilitowali się w ciągu ośmiu lat od uzyskania doktoratu. Autor proponuje selekcję na wszystkich szczeblach pracowników naukowych do profesorów włącznie, ale według kryteriów nie tylko ilościowego dorobku naukowego, lecz i osiągnięć w dydaktyce.

B. Filus i J. Czech („Życie Literackie nr 43/79) obawiają się, że ofiarami rotacji mogą być ci najlepsi i najbardziej zasłużeni dla uczelni. Pierwszy z nich przypomina rotację przeprowadzoną w szkolnictwie średnim w 1968 r., o której mówi się, że objęła najbardziej wartościowych nauczycieli. J. Czech podaje, że gdyby stosować rotację według zasady: dobry i zły, aktywny i nieaktywny, z dorobkiem naukowym i bez, można by śmiało w jednych zakładach zwolnić 100 pracowników, a w innych żadnego.

W mojej wypowiedzi, opartej o doświadczenia 35 lat pracy w Lublinie i zainteresowania większością problemów wyższych uczelni, chciałabym w kolejności przedstawić bieg pewnych zarządzeń władz centralnych i popełnianych błędów w ich wykonawstwie, za co my, profesorowie i kierownicy katedr, jesteśmy poniekąd odpowiedzialni.

W latach pierwszych, 1944—50, rozwój kadry naukowo-dydaktycznej w poszczególnych katedrach pięciu wydziałów UMCS był bardzo zróżnicowany. W pewnych katedrach bardzo szybko urosły kadry asystentów z dyplomami na miejsce zastępców asystentów (studenci), a nawet i adiunktów, którzy szybko uwinęli się z doktoratami. Mniej optymistycznie przedstawiała się sytuacja kadrowa w tych zakładach, w których kierownicy dojeżdżali z innych ośrodków (dwuetatowość) raz lub dwa razy w tygodniu, a takich w pierwszym pięcioleciu było sporo. Konsekwencje tego ponosi do dziś wydział farmaceutyczny Akademii Medycznej, który nie ma jeszcze praw habilitowania. Natomiast w tych zakładach, które dzięki prężności i dynamice profesorów uzyskały szybciej lokale, zagospodarowały się i otrzymały aparaturę, rozpoczęło badania naukowe już w latach pierwszych. Pojawiły się też pierwsze publikacje i prace doktorskie. W owym pięcioleciu władze uczelni i kierownicy katedr mieli więcej swobody w programowaniu zajęć dla studentów i kształceniu asystentów. Na podstawie uchwał rad wydziałowych, zatwierdzonych przez senat, warunkiem uzyskania stanowiska asystenta był dyplom, starszego asystenta — przynajmniej jedna publikacja, a adiunkta — doktorat.

W 1952 roku nastąpiła zmiana stopni naukowych; nie doktoraty, ale kandydatury, zamiast habilitacji — doktorat nauk. Ten system nie był popularny. Niewielu chętnych zgłosiło się do przewodów kandydackich i jeszcze mniej je ukończyło. O doktoratach nauk w Lublinie nie słyszałam. Prawdopodobnie największą barierą był trudny egzamin z marksizmu przed komisją centralną w Warszawie. Ponieważ kadry nie rosły nie tylko w naszym lubelskim środowisku, resort wydał zarządzenie o zgłaszaniu kandydatów mających stopnie doktorów na docentów mianowanych, bez wymogu habilitacji. Nie zawsze wybór był właściwy, korzystny dla uczelni i pożyteczny dla mianowanych.

Rok 1956 przywrócił autonomię uczelniom, wybory władz i powrót do dawnych stopni naukowych. W celu przyspieszenia rozwoju kadr wydano zarządzenie o rotacji tych asystentów, którzy w określonym czasie nie uzyskali pierwszego stopnia naukowego, a ponadto o ograniczeniu awansów do tytułów profesorskich. Warunkiem niezbędnym dla docenta na uzyskanie tytułu profesorskiego było promotorstwo przynajmniej dwu przewodów doktorskich. To powiązanie w uzyskaniu tytułu profesora z promotorstwem w niektórych przypadkach utrudniało i przedłużało awans docentom o wysokich kwalifikacjach naukowych, a w innych wpływało na obniżenie poziomu prac doktorskich.

Lata 1960—1979 charakteryzuje znaczny wzrost liczbowy doktorów i niewielki doktorów habilitowanych. Niewątpliwie na taki stosunek wpłynęły studia doktoranckie, które pomnożyły doktorów. Czy ten zastój w habilitacji należy odnieść do braku zaangażowania i pasji twórczej do badań naukowych, czy braku bodźców (wyjazdy szkoleniowe, stypendia zagraniczne) i zachęty ze strony kierowników-docentów, czy też powstał on z powodu nadmiaru zajęć dydaktycznych? A może brak zarządzenia o rotacji na szczeblu asystentów demobilizował adiunktów? Prawdopodobnie odegrały rolę i inne jeszcze zdarzenia, ważne w historii 35-lecia uczelni.

W latach 1965—70 wprowadzono np. w miejsce dawnych katedr większe jednostki nazwane instytutami na wzór instytutów PAN i resortowych. Brak właściwego (dobrego) modelu instytutu uczelnianego, spajającego wszystkie pionY działań (kształcenie studentów i asystentów, badania naukowe), spowodował dezintegrację zamiast integracji. Wyrazem tych poglądów jest artykuł Rota w „Kulturze" (nr 27/79), który tak pisze: „są uczelnie, w których administracyjny sposób powołania instytutów nie przyniósł efektów a nawet unicestwił wartościowe zwyczaje pracy naukowej i dydaktycznej byłych katedr. Niektóre instytuty stanowią przypadkowy zbiór byłych katedr, zakładów, pracowni mało z sobą związanych". Tyle autor. Dodam, że w większości instytutów dydaktyka została poza nawiasem ich działalności. Jednym z celów powołania instytutów była integracja w tematyce badań naukowych, wiele bowiem publikacji o małej wartości naukowej, o charakterze przyczynkowym, nie odpowiadało wymogom stawianym uczelniom.

Nowe centralne zarządzenie o finansowaniu prac naukowych w uczelniach wyłącznie na podstawie zleceń od instytutów PAN lub resortowych, bądź przedsiębiorstw, miało na celu włączenie potencjału naukowego uczelni do problematyki ważnej dla gospodarki narodowej. Ale przy uzasadnionych założeniach rygorystyczne i administracyjne formy wprowadzenia tych zarządzeń w życie stanowiło nowy wstrząs w codziennym rytmie pracy uczelni. Wielu profesorów, docentów musiało zerwać z dotychczasową problematyką badań. Nie zawsze zlecenia odpowiadały randze uczelni. Niejednokrotnie były to usługowe fragmenty procesów wdrożeniowych, zbyt uciążliwych dla zleceniodawców.

Nie były to warunki sprzyjające dla powiększenia indywidualnego dorobku naukowego, wymaganego dla habilitacji i wykonania pracy habilitacyjnej. Podobne poglądy wyraża też Zwaniecki w artykule „Przewietrzyć uczelnie" („Kultura" nr 42/79) pisząc: „Czy całkowite podporządkowanie uczelni doraźnym interesom gospodarczym na wzór przedsiębiorstw było dobrym rozwiązaniem?"

Opinie o niskim poziomie prac habilitacyjnych w uczelniach, o grzecznościowych recenzjach spowodowały jeszcze jedno zarządzenie ograniczające autonomię uczelni przez powołanie centralnej komisji kwalifikacyjnej z prawami odrzucania wniosków o nadanie stopni doktora habilitowanego lub awansów na tytuły profesorskie. Jako wielokrotny promotor, opiekun przewodów habilitacyjnych i recenzent, uznając potrzebę powołania na danym etapie CKK, odczuwam poniekąd upokorzenie i przykrość za moją uczelnię z powodu obniżenia jej autorytetu i wagi jej wniosków. Podobne zastrzeżenia wysuwa prof. Z. Karczmarczyk („Życie Literackie" nr 46/79) szczególnie w odniesieniu do anonimowości CKK. Ale optymistycznie należy ocenić wypowiedź prof. Wiewiórowskiego, b. przewodniczącego CKK, że stanie się ona niepotrzebna wtedy, gdy podniesie się poziom prac habilitacyjnych.

Obecnie wchodzi w życie nowe zarządzenie limitujące uzyskanie tytułu adiunkta — egzamin z dwu obcych języków i staż w krajowych ośrodkach naukowych mających wysoką rangę w danej specjalności.

Rozmawiam z adiunktami o długim stażu w uczelni na temat ich przyszłości i dalszej kariery naukowej. Niektórzy z nich przewidują w późniejszych terminach habilitację, inni rezygnują z niej. Dlaczego? Są przemęczeni pracą dydaktyczną, przekraczającą wymagane pensum. Przy obecnym systemie prac zespołowych, związanych ze zleceniami, nie widzą szansy pomnożenia swego indywidualnego dorobku naukowego w publikacjach, które byłyby zaliczone. Bariera wieku uniemożliwia im uzyskanie dłuższych stypendiów na wyjazdy zagraniczne.

Retrospektywny przegląd faktów, opinii i poglądów o sprawach wyższych uczelni w 35-leciu świadczy o sprzężeniu zwrotnym przyczyn, środków naprawy i skutków wprowadzania zmian administracyjnymi zarządzeniami. Wiele spraw wymaga dyskusji, podaję niektóre z nich, także w formie pytań i postulatów:

Czy przymus i limity czasu w zdobywaniu stopni naukowych nie prowadzą do obniżania ich poziomu, do pomniejszenia rangi i roli dydaktyki w uczelniach i do postaw karierowiczowskich?

Czy liczba publikacji naukowych niezależnie od ich wartości może i powinna być najważniejszym a często jedynym sprawdzianem w rozliczaniu od asystentów do profesorów i czy służyć może za podstawę do nagród i awansów? (Pozostały mi w pamięci lata pracy w Państwowym Zakładzie Higieny w Warszawie (1925—1939) i prace naukowe naszego zespołu, do których nikt nas nie zmuszał, ani nie namawiał, i które nie stanowiły podstawy do wyróżnień).

Czy zamierzone wprowadzenie obowiązku i limitu czasu dla uzyskania drugiego stopnia naukowego na szczeblu adiunktów nie wpłynie na powiększenie kadry „miernych docentów"?

Uczelnie potrzebują i tych z pasją twórczą do badań naukowych i tych uzdolnionych do przekazywania wiedzy młodszym pokoleniom. Należy zrównoważyć rolę i rangę obu zadań w ocenach pracowników naukowo-dydaktycznych.

Jeżeli obniżenie liczby etatów w uczelniach to konieczność, personalne przeprowadzenie rotacji będzie wymagało dobrze przemyślanych zasad postępowania.

Na obecnym etapie należałoby wyłączyć z rotacji adiunktów z długoletnim stażem i cennych w szczególności dla prac dydaktycznych, aby nie sprawdziło się przysłowie, że ktoś zawinił a kogoś innego powiesili.

LIST Z RZESZOWA

Łatwo o kontuzję

W TEATRZE szacowne nic. Od stycznia będzie nowy dyrektor. Jesień teatralna zwana też „Spotkaniami" okazała się niewypałem. Teatry polskie na progu sezonu nie zdążyły jeszcze rozwinąć skrzydeł? Ich loty okazały się nie za wysokie. A bałagan był rodzimego chowu. Teatr dostał parę milionów dotacji, więc pojawiło się trochę nowo zapalonych żarówek, reklam, głębokich, jeszcze jakby galicyjskich ukłonów. Pozory. Przedstawienie Teatru Polskiego z Wrocławia odbyło się o godzinę wcześniej, niż planowano. Efekt: puste krzesła na widowni, nerwy, oburzenie, żal. Teatr Faktu z Warszawy grał w sali lodowato zimnej, ciasnej, tak doskonale akustycznej, że słychać było hałas ulicy, trzepanie dywanów i głosy bawiących się w pobliżu dzieci. Ludzie biegali za biletami, a w trakcie spektakli było sporo wolnych miejsc. „Spotkania" nie w porę zwołano, niby były teatry, ale nie było sztuki. Za to Siemion pojawił się w rzeszowskim Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy, jak UFO, błysnął monodramem napisanym przez Słonimskiego, uśmiechnął się, zawiązał sobie pod szyją czarną wstążkę, uleciał. Świetny tekst wygrany przez Siemiona, jak koncert na skrzypce: subtelny, pełen humoru i dojrzałej, jak stare wino, mądrości. To dowód zarazem, że nie wielkie pieniądze, deklaracje, ale myślenie i sprawna organizacja pchają sztukę pod górę. Nasi działacze kulturalni — co jeden to Syzyf — może oni i coś pchają, tylko na pewno nie pod tę górę, co trzeba. Dowód: Teatr Faktu wystawił spektakl „Co u pana słychać?" Krzysztofa Kąkolewskiego. Suchy zapis precyzyjnych rozmów, jakie przeprowadził mistrz reportażu z ludźmi mającymi „brudne dusze"; żyje im się dobrze. Spektakl był prowadzony z wielką kulturą i rzetelnością. Męczył, ale wymagał myślenia. Byli tacy wśród widzów, co wpadli po spektaklu w złość okropną: — Jak takich ludzi stać na komfort? Złość to pochopna, są to bowiem ludzie potwornie ubodzy, brak im komfortu czystego sumienia, czyli tego, co w życiu jest naprawdę ważne. Spektakl widziało w Rzeszowie stanowczo za mało ludzi, przeciw czemu protestuję i mam poważne do organizatorów „Spotkań" pretensje. Pora najwyższa żeby teatr służył ludziom, a nie był jarmarkiem snobów i pochlebców.

Czego brakuje miastu? Czasem wody i światła. Wodę trzeba targać z pompy, światło kopcić ze świeczek. Dzieci się cieszą, nie trzeba tak często jak należy myć rąk i odrabiać lekcji. Wody w obfitości obiecują nam władze miejskie już za dwa lata. W Polańcu rośnie wielka elektrownia, tuż, tuż sypnie megawatami. Znikną wszystkie kłopoty? W żadnym razie. Czas coraz częściej okazuje się wielostrumieniowy, nie wszystkie nurty postępu płyną z tą samą szybkością. Rzeszów szast-prast i robi już radia tranzystorowe. Trudniej o nowe ujęcie wody. Spece od wody rozkładają ręce, obiektywne trudności rosną, jak balon nadmuchiwany ciepłym powietrzem. Temat to płynny. Cóż, wszystko płynie, tylko dlaczego najszybciej słowa? A człowieka czasem trafia szlag. Chce ugotować zupę, zdobył „gwóźdź", a wody jak nie było, tak nie ma. Ktoś powiedział, że kultura zaczyna się nie od wielkich słów, ale od czystych rąk; na pewno nie był to szef od wodociągów.

Czyste ręce. W najstarszym z rzeszowskich liceów jeszcze przed wakacjami wyszła na jaw afera. Korepetycji udzielano na terenie szkoły, nie tylko za złotówki, tematy klasówek trafiały przed czasem do uczniów mających bogatych rodziców. Miasto huczało. Władze oświatowe nie życzyły sobie rozgłosu wokół sprawy. Wina była tam bezsporna, kogoś tam zawiesili, dyrektor stracił posadę. Ale cicho sza, żeby liceum nie straciło prestiżu. Tymczasem „zainteresowani" się odwołali, powolutku pracują o odrobienie straconych pozycji. Taka obłuda szara, a niebezpieczna dla otoczenia... Światło czyści gruntownie, w ciemności wszystkie koty są szare, równe, wina nijaka, demoralizacja młodzieży jest tu szkodą największą. Potykać się już u progu życia o wysoki próg cynizmu dorosłych, łatwo nabawić się kontuzji, a nawet trwałego kalectwa.

pumex

Na dobre i na złe

Tadeusz Jasiński

— Różnie to w naszym życiu było — mówi mi pani Helena. *— My se pomagali. Bieda, to bieda, to my razem biedowali. Dobrze, to dobrze, to my też razem. Ja byłam i cierpliwa, i wyrozumiała na wszystko...*

— Życie rodzinne nie jest takie łatwe. Musi opierać się w części na miłości — powierza mi swoje przemyślenia pan Bronisław innego dnia, gdy jesteśmy sami. *— To jest prawda. Ale bez rozsądku nie utrzyma się, bo czasy zawiłe i były, a i są.*

MAKSYMY te nie są wcale tak różne od tych, które słyszymy od innych długoletnich par lub czytamy u moralistów w bardziej może skomplikowanym zestawie słów. Czy więc rzeczywiście to iż państwo Helena i Bronisław Pietrykowie z Dąbrowicy pod Lublinem przeżyli szczęśliwie pięćdziesiąt lat i obchodzili w listopadzie swoje złote gody wynika z powyższych prawd? Czy może należy je traktować jedynie umownie, a szukać innych, pewniejszych jeszcze przyczyn trwałości ich związku? Jakie to zawiłości były i są, co wymaga cierpliwości?

Zawiłości, one były od samego dzieciństwa, zaczęły się już tam, w Małopolsce, gdzie się urodzili i dojrzewali, w byłym powiecie kolbuszowskim. Bronisław Pietryk, snując swoją opowieść często zaczynał następująco: „Proszę ja was, było tak..." i opowiadał mi, opowiadał. Helena Pietryka, zresztą jak i mąż, zachowała sporo z gwary małopolskiej. Wzdychając stwierdzała: „Kiej to zeszło te 50 lat, to ja nie wiem..." i także nawracała do któregoś ze zdarzeń, jakie wryły się w słabnącą już pamięć najbardziej, albo miały znaczenie największe.

— Proszę ja was, było tak... Mały Bronek stracił matkę jeszcze przed wybuchem pierwszej światowej i przygarnęli go bezdzietni stryjowie, którzy posiadali w Ostrowach Tuszowskich niecałe cztery hektary piasków. Skończył sześć oddziałów powszechnej, siódmego w tej, ani w najbliższych wioskach ukończyć normalnie nie można było. „Żebym ja mógł ci dać tę jedną klasę" — wzdychał stryj. W końcu i tę trudność pokonał. Bronek chodził przez trzy lata jeden dzień w tygodniu do oddziału uzupełniającego, a równocześnie pracował w lesie. Potem dopiero, w Związku Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej „Wici", w „Piaście" i wreszcie w Stronnictwie Ludowym dopełniła się jego edukacja, także ta klasowa, ta polityczna.

— Kiej to zeszło, to ja nie wiem... Przed wojną nie było tak dobrze dziecku, jak teraz. Ja miałam sześć lat i pasłam już bydło. Trzeba było pracować, męczyć się, tego nie było, co teraz. Od rana pasłam, bez obiad leciałam do szkoły i znowu kozy, albo krowy gnać na pastwisko. Dzisiaj takie małe dzieci, to się na wsi pielęgnuje. Kiej ja naszym dzieciom opowiadałam o tym, albo wnukom, oj, to się śmiały, że to nieprawda. W przerwach obiadowych lekcje były w mojej wsi, tyle tego się nauczyłam. Potem znowu na kursach wiciowych i w Stronnictwie Ludowym to my już z Bronkiem tak razem i razem, żeby coś więcej wiedzieć o tym świecie.

— Proszę ja was, było tak... — Dowiaduję się o radykalizmie wsi małopolskiej, o 25 hektarach plebana, które parafianie musieli obrobić za „Bóg zapłać", o konieczności spowiedzi rodziców za to, że ich dzieci czytały ludowy tygodnik „Przyjaciel Ludu", o przejaśnianiu się w głowach, kole SL, któremu w Ostrowach Tuszowskich prezesował, o członkostwie Powiatowego Zarządu SL w Kolbuszowej, o ścieraniu się list wyborczych nr 2 (ludowej) i nr 1 (rządowej) w wyborach z 1932 roku, o pobiciu przez bojówkarzy pani Heleny za roznoszenie ulotek, o strajkach leśnych i łamistrajkach, i o bitwie z nimi na siekiery. I jeszcze o tym marszu na Rakszawę, który ludzie zrozumieli tak, jak pragnęli: na Warszawę, o Witosowym odwołaniu tego pochodu, by go ustrzec przed klęską, o solidarności chłopskiej, o obrabianiu pól aresztowanym i osądzonym. Wreszcie o tej wiadomości, że na Zamojszczyźnie odbywa się parcelacja wielkich folwarków, że pod Krasnymstawem w Stasinie—Guzówce może kupić ziemię. Sprzedał gospodarstewko po zmarłych opiekunach, pozbierali oboje co posiadali, by mieć potrzebne pięć tysięcy złotych. Zgłodniali byli własnego i żyznego pola, wybrali dziesięć hektarów niedaleko Wysokiego, a pozostałe 75 proc. wartości spłacać mieli przez 40 lat, ale że za cztery wybuchła wojna... Ledwie zdążyli się wybudować, ledwie pozlepiali rozbiórkową cegłę. Rodziły im się dzieci, przyszła Ania, Michasia i Mietek i ...ale to już po wojnie w Lublinie — Alinka. I znowu działalność w ruchu ludowym, pan Bronisław założył koło Stronnictwa Ludowego, powstały „Wici", sklep Spółdzielni Spożywców „Społem", a w Turobinie proboszcz z ambony krzyczał o komuniście, co pod przykrywką Stronnictwa ludziom w głowach mąci, a policja państwowa podejmowała różne szykany, bo niezwyczajna była takich bezeceństw wśród byłych fornali, którzy także ziemi nakupili. W sąsiedztwie Harasimowie podobnie działali, ale to byli swoi, z tych stron. To, co przychodziło z Małopolski, wydawało się groźniejsze. Pojmował to również wójt z Wysokiego, skoro w 39-tym przed wyborami do Rady Gminnej zaofiarował ludowcom cztery mandaty na szesnaście możliwych. Bronisław Pietryka odrzucił tę jałmużnę, więc powiedziano mu: chcieliśmy wam dać, a tak nie wybiorą ani jednego waszego kandydata. Wybrali jednak dwunastu i to całkiem uczciwie, mimo nagonki, a spośród nich własnego wójta i trzech ławników. Ale starosta krasnostawski nie zatwierdził, wojewoda lubelski także nie, więc „demokratyczne" rządy sprawował wójt dotychczasowy, jako komisaryczny, w czasie okupacji również. Dwa razy był Pietryka aresztowany, sądzony nawet, ale nie udało się go osadzić w więzieniu na dłużej. A pani Helena, co ona o tej politycznej działalności?

— Przecież my razem. Mąż także miał swoje zadania w Krasnymstawie, w innych wioskach, a ja na miejscu. To już wspólny los, dlaczego miało by nam być gorzej, że on tak społecznie? Niektóre kobiety to źle na coś takiego patrzą, a ja miałam taką ambicję, żeby on mógł dla ludzi co dobrego osiągnąć, ale go prześladowali. Prześladowali, nie dawali spokoju. Przed wojną nie było tej dobroci, ale się jakoś żyło. Różnie było, dobrze i źle, ale my razem przeżyli jakoś i się nie dali. A w czasie wojny, Boże! Byłam w Ludowym Związku Kobiet łączniczką, kolporterką, sanitariuszką w Zielonym Krzyżu. Przekradałam się w stronę Zamościa, Biłgoraja, Żółkiewki, pod Lublin i Kraśnik, gdzie on, gdzie mąż kazał, gdzie dowództwo wysyłało. Odbijali nasi więzienie w Krasnymstawie, areszt w Żółkiewce, to nasze dziewczęta w pogotowiu były, w obstawie, była jakaś bitwa, albo potyczka, to my już tam z bandażami, z noszami, żeby uratować rannych. To było okropne dla kobiet, dla dziewczyn, czasem tak młodziutkich, że żal ich wieczorem w ciemne podwórko po coś posłać, a tu trzeba było po nocy — latem to latem — ale zimą, w śnieg, mróz i zawieruchę.

— Proszę ja was, było tak... — Krótko więc był Bronisław Pietryka w Związku Walki Zbrojnej, bo ciągnęło go tam, gdzie można było się bić, ale wnet pojął, że pewniej trzymać się dawnego nurtu. Ludowcy zaczęli gromadzić się w „Rochu" i „Chłopskiej Straży", a potem w Batalionach Chłopskich. Pociągało go to bardzo, w „Chłostrze" i BCh miał pseudonim „Dąb", potem „Dąb-Pogrom", był bliско „Lemiesza", czyli pisarza Józefa Nikodema Kłosowskiego, był jego zastępcą, a potem następcą w randze majora. Trwał wśród tych, którzy oddziałów Batalionów Chłopskich nie pozwolili podporządkować Armii Krajowej, utrzymali swą samodzielność do końca, współdziałali w akcjach z Gwardią Ludową, a potem odczuwali swą przynależność do Armii Ludowej, większość wstąpiła natychmiast po wyzwoleniu do Ludowego Wojska Polskiego. On sam otrzymał nakaz do roboty politycznej, do odradzania w Krasnostawskiem Stronnictwa Ludowego i „Wici", w jawnej już formie. I robił to. A w czasie wojny, a wcześniej? Odbicie 300 więźniów w Krasnymstawie, rozbicie posterunku w Żółkiewce, kilkakrotne wysadzanie pociągów pod Izbicą i gdzie indziej, na dalszych odcinkach torów, bitwa pod Piotrkowem, rozgromienie Niemców pod Białką, palenie akt w urzędach gminnych, „wychowywanie" zbyt służalczych wójtów i urzędników: „Wszędzie tam nasi ludzie, a ja, nieraz i żona, z nimi. Człowiek się nie krył tak bardzo, ale coś robił".

Potwierdzenie wielu tych akcji jest łatwo w pokoju, w którym rozmawiamy, dostrzegalne. W gablocie wiszą na ścianie odznaczenia ich obojga: Partyzanckie, Virtuti Militari V klasy i te ostatnie — medale „Za Długoletnie Pożycie Małżeńskie". Pan Bronisław otrzymał nadto Krzyż Walecznych, krzyże: Brązowy, Srebrny i Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. To już przede wszystkim za powojenną działalność. Pani Helena po długiej chwili milczenia wzdycha zwyczajnie, po kobiecemu:

— On tyle nie przeżył, co ja. Ja za dzieci odpowiadałam, kiedy on poszedł w lasy się bić, albo wysłali go, czy on sam się wysłał gdzieś daleko z politycznym słowem, z otuchą dla ludzi, ja musiałam zostać z dziećmi. Co było z nimi robić?! To było okropne, ale nie zginęło żadne dziecko, ani ja, ani mąż. Grunt, że my przeżyli. Pod strachem piekłam chleb dla partyzantów, z naszej mąki i z tego, co oddawać musiały gminy. Z grubo mielonej pszenicy, to jak nasi przyszli, wołali do mnie zgłodniali: „Daj, Helka, tego piernika", „Niech pani da świeżego chleba", „Da pani zupy albo pierogów, bo my dawno nic ciepłego w ustach nie mieli". Mąż tyle nie przeżył, chłopska sprawa wojować, ale ja... Cofają się już oni, leci jakiś Niemiec pokrwawiony, jeszcze dalej inni, jacyś źli strasznie. Uciekam z dziećmi przez zboże, za stodołą, na kolanach, w przykucnięciu i czołganiu, byle do lasu. Robiło się ciemno, a za nami jasność, bo stogi podpalili...

— Było tak: Zbliżał się front, a myśmy wdali się w bitwę z oddziałem

Fot. Waldemar Stępień

Kamena str. 8

niemieckim — wyjaśnia pan Bronisław. — Niemcy ginęli, z tych trzech, co Helenka widziała, jeden został akurat zabity, drugi był ranny, a trzeci widział, że my zza stodoły do nich, uciekł i zawiadomił swoich. W trzydziestu ludzi poszliśmy zlikwidować obsługę działa, które w stronę ruskich strzelało, a potem w las i dalej, spod Maciejowa do Wysokiego. Tymczasem Niemcy wrócili w to miejsce, myśleli, że my w stodole i chałupie. Ostrzelali, obrzucili granatami, spalili wszystko, co po 1935 roku było naszym dorobkiem.

— Całe życie mąż budował. Spalone w Stasinie-Guzówce odbudował, potem w Lublinie na Północnej kółko rolnicze, jego bazę budował, teraz tu, w Dąbrowicy, także budował. On nie odpocznie, on na nikogo nie patrzy, żeby mu dali. Każdy po wojnie przyszedł do swojego domu, a my nie mieli gdzie mieszkać. Zostało się na popiele. Nie było oni w czym chodzić, ani co jeść, bo to żniwa dopiero, a stogi spalone. Ale człowiek się cieszył, że dzieci całe, że żyjemy oboje, to już było dobre.

Wchodzi w te słowa pan Bronisław. Mówi o skomplikowaniu powojennych spraw w kraju i samym ruchu ludowym. On w Stronnictwie Ludowym, a niektórzy w Polskim Stronnictwie Ludowym, z kolei w pobliskich lasach bandy, które wydawały wyroki na tych, co uznali PKWN i Rząd Tymczasowy. Pietryka otrzymywał wyroki, znalazł się na śmiertelnej liście.

— Było tak: brat na brata, swój na swego, dawny kolega stawał się wrogiem, albo i całkiem obcy, z innych stron, uznawał, że ma prawo decydować o życiu innych.

— Co ja przeżyłam. Ja się spać nie położę, dookoła tego, co się po pożarze odbudowało i było naszym domem, chodzę i nasłuchuję, czy nie idą, czy tak, jak przed Niemcami nie trzeba mi dzieci brać do lasu.

— Proszę ja was, oni o mnie tak myśleli: on poszedł do powiatu, do województwa jeździ, zakłada Stronnictwo, on jest zdrajca, on przeciw londyńskiemu rządowi, trzeba go zabić. Człowiek tylko na pogrzeby chodził i sam patrzył po ludziach, kiedy oni przyjdą na jego grzebanie.

— Nie położę się, chodzę dookoła domu, żeby dzieci spokojnie spały, a ledwo się położyłam, już wybuchy słyszę, już błyska, zbliża się banda. Sześć razy tak naszą chałupę nachodzili. Że ja miałam tę siłę na to wszystko! Nie wiem, jak to określić. Bandyty napadali, a ja kłamać musiałam przed nimi o mężu, zastawiać się dziećmi, albo je osłaniać.

— Helenka mówi tak teraz, ale wtedy była dzielna, bardzo. Ona w czasie wojny przechodziła przez najniebezpieczniejsze miejsca, czasem całkiem blisko hitlerowskich posterunków.

— Różnie to w tym życiu było, różne to nasze życie było. Braki były wielkie. Przeżyli my razem 50 lat, to już jakoś dożyjemy. Miałam małe dzieci, musiałam z nimi, a jak dałam pod opiekę, to szłam gdzie był rozkaz. Teraz dawno dzieci już wychowane, wykształcone, dobrze wychowane. Jak my mogli, tak my ich wywianowali, teraz same pracują i nie idzie im źle. Mamy 11 wnuków i 3 prawnuków.

— Są tacy, którzy chcą ukryć skąd pochodzą. Ja dumny jestem z mojego chłopskiego rodowodu. Na naszych złotych godach, które nam dzieci przygotowały, było wielu dawnych kolegów i koleżanek z „Chłostry", z Batalionów Chłopskich i Związku Kobiet Ludowych. Wspomnienia same do nas przyszły wraz z nimi. Ładnie było i w ratuszu u prezydenta lubelskiego, i na złotym weselu.

— Dzieci wychowały się dobrze, trzech wnuków zrobiło i kończy wyższe uczelnie. To jest ten krok jeden i drugi dalej, niż my sami mogli zrobić w tamtych czasach. Miałam taką ambicję, że trzeba żyć z mężem i w tym dobrym, i w tym złym. Czasem trzeba załagodzić, kiedy padnie ostre słowo. Żyliśmy i żyjemy jak trzeba, widocznie dobrze nam było ze sobą, jeżeli myśmy przetrwali tyle lat.

— Dużo rozsądku trzeba, umiarkowania i samozaparcia, żeby dobrze i tak długo przeżyć. Zawsze myśleliśmy, żeby dać dobry przykład dla synów i córek. Mamy dobre dzieci, dobrze żyją, wnuki i prawnuki nam dały, a o rozwodach u nich nigdy nie słychać. Mają ambicję żyć jak my i jeszcze lepiej, bo w lepszym czasie. Wielu spośród tych, którzy przyszli ze wsi do miasta, rozchodzi się. Nie zastanawiają się skąd wyszli, jakie tam były obyczaje, jakie dzielili dole i niedole.

— My razem biedowali: bieda, to bieda, bogaciej było: dobrze, to dobrze.

— Życie rodzinne musi opierać się na miłości, ale i na rozsądku. Czasy zawiłe były i są, rozsądek też jest potrzebny.

Wiek błogosławiony

Janina Orynżyna

STARAM się dociec, dlaczego wiek osiemdziesięciu lat zwie się wiekiem błogosławionym. Gdy doktor pyta gdzie boli, odpowiada mu się: panie doktorze proszę zapytać, gdzie nie boli. Jednakże są chwile uciszenia, gdy zazwyczaj dokuczliwe ciało nie daje sygnałów dolegliwości i zapanowuje błogie odpoczynienie.

Gdy się jeszcze tkwi w życiu, targa nami niepokój o bliskich, poza tym spełnia się wiele drobnych czynności, pochłaniających czas, jak zarobkowanie, sprzątanie i gotowanie i to się nazywa życiem. Gdy to wszystko na co narzekamy, odpada, tworzy się pustka i nuda. Należy myśleć i przygotowywać się do największej podróży w nieznane, do której środki komunikacji są tak przykre. Ale nawet buddyjscy jogowie nie mogą bez przerwy myśleć o śmierci. Można się zabawiać wspomnieniami, zwłaszcza, jeśli zachował się jeszcze ich świadek, skarb bez ceny, pozostały po tylu nieżyjących przyjaciołach.

Gdy przychodzą chwile łagodnego uciszenia, czasem zapada się w cudowny sen, przywracający kraje utracone, przyjaciół, którzy pomarli i sprawność fizyczną, której nie ma.

Oto płynę po morzu, czego nie czyniłam od lat kilkudziesięciu. Tak samo zachłystuję się słoną pianą, od rześkiego chłodu drży każda kropla krwi. Wpływam na pienistą grzywę fali i znów się zanurzam. Tak się posuwam, nie tracąc miarowego oddechu, jak nigdy dotąd. Sól morska podnosi doskonale i tak płynę i płynę... I oto okazuje się, że ja, nędzny patałach, przepłynęłam kanał La Manche, jak światowej sławy pływaczka. A tuż na brzegu oczekuje mnie osiodłany konik. Gdzie ja widziałam tego karego? Znam go na pewno, z tą strzałką. Chyba na nim jeździłam za młodu. Jeszcze ociekając słoną wodą, wskakuję na konika i pędzimy z wiatrem w zawody. Galop jest tak szalony, że trzyma się już nie tylko wodzy, lecz grzywy. Pejzaże przelatują jak w popsutej telewizji, migając i zlewając się w mgłę. Nie wiem sama, jakie przemierzam kraje. Nawet za młodu nie wytrzymałabym tak wściekłego galopu i zleciałabym na łeb na szyję. Ale oto mój kary, cały w mydle, przechodzi w kłus i stępa. Widzę teraz rozległe widnokręgi falujących rdzawych i fioletowych pagórków, zamknięte granatem dalekich borów. Jadę znajomą gliniastą drogą, wysoko wyniesioną pomiędzy pagórkami. To droga do Najni którą tylekroć przemierzałam, spoglądając na okoliczne jeziorka. Otóż i staw, rozkrzyczany ptactwem: rybitwy i kaczki, wodne kurki z zielonymi nóżkami śmigają po liściach nenufarów. Czapla żywa, czy zabita stoi na jednej nodze. To już zaraz Kimborciszki. Rzeczywiście widać jeziorko i wyspę ze starymi lipami jak zielony tort pośrodku. To nie prawda, że biały dwór na klasycznych słupach spłonął w pierwszej wojnie światowej. Stoi jak niegdyś w ten ciepły letni wieczór, grający świerszczami. To dziwne, że jeszcze pachnie odurzająco lipa i kwitnące dzięcieliny. Ciotki, które bynajmniej nie umarły, ćmią papierosa na ganku, licząc spadające gwiazdy. I oto na moim karym z fantazją podjeżdża pod ganek Marian i z filuternym uśmiechem w sposób tylko jemu wiadomy skłania konia do zabrudzenia zagracowanej drogi przy krzaku białej róży, która nie przestaje kwitnąć bez przerwy przez te kilkadziesiąt lat. Potem Marian ku zgorszeniu ciotek wjeżdża konno na ganek, przekracza sień, okrąża owalny, stunogi stół od portretu stryja Floriana w kontuszu aż do empirowego zegara ze złotą tarczą, stojącego w drugim końcu pokoju, potem wraca kłaniając się z gracją osłupiałym ciotkom i po stopniach ganku jedzie do krzaku białej róży, powtarzając końską złośliwość.

Czyż nie warto było przepłynąć kanał La Manche, aby raz jeszcze ujrzeć kraj utracony, spalony dwór, pomarłe ciotki i uroczego, nie żyjącego Mariana, który pozostał zawsze młody?

Nie mam już rówieśników, ani bliższej rodziny, czy starych przyjaciół. Jestem wiekiem odtrącona na peryferię życia i wydaje mi się, że młodsi robią łaskę, gdy mnie odwiedzają. Jestem samotna, ale mam cały świat parominutowych znajomości, krótszych, niż spotkania w pociągu.

Gdy wychodzę na ulicę, moje kalectwo jak magnes przyciąga dobrych ludzi. Jeden przeprowadza przez jezdnię, drugi dźwiga mą siatkę z zakupami. Codziennie wychodząc myślę, kogo mi przyprowadzi Anioł Stróż.

Najczęściej są to staruszki, które albo same chorują, albo kogoś pielęgnują. Rytuał zaznajomienia się polega na wymianie wiadomości o wzajemnych dolegliwościach, których jest tak nieprzebrane mnóstwo, że nie zmieściłyby się w puszce Pandory.

Spotkania są różne. Tym razem ofiaruje się mnie prowadzić czerstwa staruszka.

— A ileż pani kochana liczy sobie latek? — pytam.

— Dziewięćdziesiąt trzy — odpowiada. — Świat jest piękny, ale nie wiadomo, czy się zobaczymy.

— A jak pani się czuje? — indaguję.

— A słabo, kochańciu, słabo, jak noszę wnukowi obiad na czwarte piętro bez windy, to niech pani sobie wyobrazi, ciężko mi...

Innym razem staruszek z gracją ofiarowuje mi ramię.

— Czy pan z Wilna? — pytam słysząc luby akcent.

— Nie, idę do kościoła — odpowiada i rozmowa się urywa.

Ale i młodzi świadczą wapniakom czy sarkofagom. Ośmielona ich uczynnością proponuję na postoju taksówek, aby mnie podwieźli:

— Odmówię za was zdrowaśki i ma się rozumieć zapłacę.

Gdy podjeżdżamy do celu, pytam kierowcę:

— Ile?

— Trzy zdrowaśki — odpowiada.

— To za drogo — próbuję się targować.

Szczególnie alkohol ujawnia dobre serce w pijakach. Jeden ofiarowuje mi ramię, by przeprowadzić mnie przez ulicę. On się kiwa w jedną, ja w drugą stronę w takt jego piosenki:

— W malczyne ręce, serce młodzieńcze...

Na postoju taksówek skromnie staję za pięciu pijakami. Proponuję jakiejś pani, by ze mną pojechała. Ona się nie zgadza. Wtedy pijacy jak jeden mąż stają w mojej obronie.

— Ta pani pierwsza jedzie — oświadczają groźnie.

A gdy paniusia próbuje się dostać do taksówki, szofer ją wyrzuca gwoli solidarności, a pijący całym honorowym frontem bronią mojego pierwszeństwa.

Wydawało mi się, że dzieci wykazują więcej badawczej dociekliwości, niż współczucia. Kiedyś w uzdrowisku, gdzie są sami młodzi i nie ma starych i kalek, których pełno w Warszawie, mała dziewczynka bacznie mnie obserwuje i pyta:

— Czy pani tak chodzi, bo pani stara?

— Nie, raczej dlatego, że mam w stawie kulkę metalową zamiast kości. Rozumie się, po wypadku. Ty jesteś mała, ale będziesz duża, a potem stara.

— To pani była kiedyś mała? — bada dalej.

— Taka sama jak ty, i jeszcze mniejsza.

— A jak pani wtedy chodziła?

— Tak samo jak ty i jak skakałam!

Rzecz nie do wiary.

Teraz, gdy co dzień wychodzę do zieleńca na podwórku, zmieniłam zdanie. Podchodzi do mnie pięcioletni brzdąc ze smutną minką i mówi:

— Ale pani to najbiedniejsza pod słońcem.

— Wcale nie — odpowiadam — Mam platynową kulkę w biodrze i jakbym miała jechać za granicę, to musieliby mnie oclić.

„A zresztą, pomyślałam, jestem bogaczką wspomnień: trzy wojny, cztery rewolucje, jeden przewrót. Wszystko to przeżyłam, a ile zwiedziłam krajów, ile cudownych miejsc w Polsce, ile poznałam ludzi, najpiękniejszych zjawisk"...

— Pani nie jest winna, że pani jest stara — mówi inna Beatka. Prowadzi mnie pod deszczem i nie chce mnie mimo namów puścić.

Gdy zjawiam się na podwórzu, ze zjeżdżalni i piaskownicy fruwają do mnie dwie Małgosie, potrójne Beatki, poczwórne Moniki i Anie, jedna Edytka i jedna Kinga. Podstawiają drobne ramionka, żeby się opierać na nich, chwytają za uszy siatkę. I idzie cały pochód. Pięcioletni Piotruś szeroko otwiera drzwi, chwyta moją siatkę i obwozi po podwórzu triumfalnie. Potem zamyka ją dla pewności w windzie. Zanim ją uratują dwie Beatki i jedna Kasia, siedzę na ławce i przyglądam się jak dziesięcioletnie Tarzany po rurach ze śmietnika włażą na trudne drzewo, a potem skaczą z drzewa na dach. Czternastoletnie Fibaki nakreśliły sobie plac z napisem: Kort im. W. Fibaka. Stawiają ławkę zamiast siatki i wcale dobrze grają w tenisa. Tymczasem Beatki przynoszą uratowaną siatkę.

Przekazuję im dziecinne tradycje, uczę jak naklejać klonowy nos, grać w kogucika i kurkę na kłosistej trawie, wróżyć z rumianka... Gdy mnie odprowadzają, opowiadam im różne gotowe już historie o psie, Jarusiu, spanielu, co lubił paprykę i sam jeździł windą, aż zginął z miłości (jakkolwiek był podeszły w latach). O mądrej Kociłdze, która przyniosła do mnie w zębach synalka Kocisława, dzikiego i wściekłego, bo wychowała go w niedostępnych chwastach. Dla starszych przygody sportowe: jak poszłam na głęboką wodę, aby się nauczyć pływać i siostry wyciągnęła mnie z wody za warkocze...

I tak dalej i dalej.

Jest więc wielka moda na mnie na podwórzu. A ulica tak jak wielki dom pełen życzliwych, jakaś samorzutna opieka społeczna. Nie krępuje mnie to, cieszę się, że tyle jest kultury w moim mieście, na mojej ulicy. Przelotna znajomość — podanie ręki, kilka przyjaznych słów... I nie jestem już w swojej samotni.

Kamena str. 9

Waldemar Michalski

UNTEN DEN LINDEN

Od Szprewy gdzie wyspa muzeów
wśród kolumn i jeźdźców kamiennych
idziemy jak przez polski gościniec
gdzie grają surmy i wznoszą bramy.

Podróżni lecz nie zagubieni
ostatnie września ostre promienie
ważąc na ustach — pełni tu wiary
która jak owoc jest lecz ciągle daleko.

Nasze żebra już dawno zmieniły się w żagle
i wszystkie drogi jedna myśl tłumaczy
nasze dłonie jako kolumny katedry w budowie
więc niechaj biją wszystkie świata dzwony!

Przy Unten den Linden wśród białych stolików
i krzeseł jakby ze skrzydeł motyli
pijemy trunek co życie przywraca — tuż obok
wino zakwita purpurą a może tylko legenda wraca?

W naszym ogrodzie wszystkie strony świata
stoją otworem — jesteś wolna a z krwi i kości
moją nadzieję karmić będą piołunem:
samotność to zbroja — kto ją podnieść może?

Berlin, 6 września 1979 r.

Zenon Dunajczyk

* * *

Takie to i pijaństwo — do imentu spite
Łeb skotłowany czadzią, ślepia spatroszone
Dzień wydzierany za dniem, za tygodniem tydzień
Z krwi, z pamięci, ze starań przenoszących góry

Taka to i zgryzota — z trzeźwości skostniała
Idąca na piechotę przez rozkisłe błoto,
Małowierna, milcząca jak samo stracenie,
Od własnej samowiedzy wcześnie posiwiała.

Takie to i patrzenie od końca po koniec,
Sprawdzanie czy się może co nie wychyliło
Z jednej strony na drugą jak lotka lub pióro —
Czy mądre nie zgłupiało, trzeźwe nie upiło...

Kłopoty z moralną zgrozą

Bronisław Kowalski

PO filmach „Aktorzy prowincjonalni", „Amator", „Kung fu" i „Szansa" można właściwie mówić o kinie pokolenia. Ściągają one — jeśli przyjrzeć się widowni — w głównej mierze równolatków reżyserów i ekranowych postaci, czyli ludzi mających od trzydziestu do trzydziestu kilku lat. Problemem ważkim wymienionych filmów jest uwikłanie się bohaterów w chaotyczne próby przezwyciężenia kłopotów w pracy zawodowej i w życiu rodzinnym. Wygląda to tak, że wyż demograficzny z lat czterdziestych przeżywa rozterki z powodu pierwszych doświadczeń w stadle małżeńskim i rwie zielone bluzy i niebieskie dżinsy szamocąc się pomiędzy odejściem żony a ambicjami w pracy. Ambicje te są po prostu zawodowe, ale przynosić mają nie tylko satysfakcję z wykonanej roboty, bo również możliwość samorealizacji, spełniania się, poszukiwania wartości głębszych niż tylko rzetelne wywiązywanie się z obowiązków. Owo pokolenie zyskiwało świadomość wśród takich właśnie haseł, a teraz ma kłopoty, gdyż zastana rzeczywistość nie daje łatwo zaspokojenia w imię prosto formułowanych ideałów. Do ostatecznej klapy dochodzi na gruncie prywatnym, czyli w małżeństwie.

W trzech pierwszych ze wspomnianych filmów mamy do czynienia z klęską bohaterów w życiu osobistym, polegającą na rozstaniu się męża i żony; regułą jest, że ona odchodzi od niego. Doprowadziło to do zdenerwowania Zygmunta Kałużyńskiego, który zapytał wprost: „skąd biorą nasi postępowi reżyserzy ten obraz familii z epoki kamienia łupanego?" („Polityka" 48). Odpowiedzi na swe pytanie nie dał, ale może ona być tylko jedna: filmowcy zaczerpnęli obraz familii z rzeczywistości, gdzie ów troglodytyzm rodzinny przejawia się mniej więcej tak:

Ponieważ codzienne „dzianie się" coraz bardziej nabiera przyspieszenia i mało w nim „pustych miejsc", gdzie by pęd opadał, zaczynamy funkcjonować w nim na zasadzie rozpędzonego mechanizmu. Nawet wnętrze rodziny wiruje już w podobnym rytmie i w niej również „puste miejsca pędu" nie często tworzą możliwości odetchnięcia. W rezultacie coraz rzadziej zatrzymujemy się, by o sobie pomyśleć i pomówić. To, co dzieje się wewnątrz nas, pozostaje ukryte na rzecz odsłaniania mechanizmów zewnętrznych układów, w których się obracamy. Coraz niechętniej spoglądamy do swego wnętrza. Równolegle idzie ubożenie słownictwa, oddającego refleksję nad sobą samym, i zanik potrzeb jego używania.

Na rzecz innych ambicji, skądinąd sensownych, pozbawiamy się wiedzy o sobie i innych ludziach. Doprowadza ów ciąg zjawisk do tak niewystarczającego poznawczo bagażu, jakim jest gromadzenie wzajemnych pretensji. Codzienne „zapominanie języka w gębie" w rozmowach z żoną, czy mężem wyzwala się sporadycznie w wykrzykiwaniu pretensji czyli często w jedynym sposobie uzewnętrznienia się; w rozmowach „na nie", gdyż rozmowa „na tak" wymaga czegoś więcej niż bylejakiego bagażu myślowego. Spostrzeżenie, że dzieje się coś niedobrego z psychiką moją, lub bliskiej osoby częstokroć następuje wcześniej lub później, ale małżonkowie nie umieją sobie o tym opowiedzieć i nie chcą wręcz, gdyż przedkłada się angażowanie świadomości w aktywność zewnętrzną, a nie skierowaną dośrodkowo.

Powstają zatem osobowości słabe, rozedrgane, nieodporne, które albo nie wiedzą o swej bezsile, albo nie chcą, by została ona ujawniona. Taką nieodporną osobowość układy zewnętrzne muszą stłamsić, gdyż tylko dążenie do maksimum samowiedzy przydaje psychice siły. Manifestacja pozorów siły na zewnątrz nie rozwiązuje niczego poza doraźnymi efektami w układzie. Jest kompensacją tylko, ale częstokroć tworzy wyższy stopień rekompensaty, czyli wywołanie konfliktu z otoczeniem w imię wartości moralnych. Ta szlachetna w zamierzeniu inicjatywa ma skutki równe samobójstwu, gdyż zaangażowana weń psychika nie wie, że nie jest w stanie udźwignąć ciężaru przez siebie stworzonego.

Konsekwencją jest nie tylko przegrana w zewnętrznym układzie, z czym należy się zawsze liczyć, ale klęska człowieka na całej linii. Bo nie może on z powodu braku wspólnego języka odwołać się do wsparcia w najbliższej osobie w rodzinie. Oboje, mąż i żona, mają oddzielnie własne problemy. Są to dwa „moje bóle", dwa pępki świata zaangażowane oddzielnie w zewnętrzność, a nie wspólnie w siebie. Brak wzajemnego rozumienia doprowadzić może tylko do rozkładu małżeństwa.

Jest to wynik niskiej „kultury psychologicznej" pokolenia. Nie zna ono metod analizy swej osobowości, nie zna pojęć pozwalających odtworzyć swe rozterki duchowe, stany emocjonalne, psychiczne. Nie zostało nauczone przez szkoły, przez publikatory, nawet przez kościół i własnych rodziców metod psychologicznej analizy siebie, a zwłaszcza poszukiwania w ł a s n y c h s ł ó w w zakresie tej metody.

Może nie w tym rzecz, by zaczytywać się teraz w grubych tomach i biegać na wykłady naukowe (choć nie zaszkodzi), ale by wytworzyć w kulturze umiejętność, chęć, odrzucenie wstydu w dostrzeganiu siebie nie w układach zewnętrznych jedynie, ale i w skomplikowaniu wewnętrznym. Rodzi się postulat: równolegle z żądaniem uczciwości od rzeczywistości, należy jej zażądać od siebie. A nie jest żadną uczciwością oferowanie sobie kwadransa refleksji tuż przed zaśnięciem. Nie jest żadną uczciwością wobec drugiego człowieka wykrzyczenie mu w twarz jedynie pretensji, nawet słusznych. Jeśli zatem familie występujące w wymienionych filmach prezentują się prymitywnie to, jak sądzę, z powyższych powodów.

Całkowicie osobnym powodem do zdenerwowania Kałużyńskiego, które objawił także Zb. Mentzel („Polityka" 48) i K. Kłopotowski („Literatura" 48), jest fakt, że A. Holland, J. Kijowski i K. Kieślowski, a wcześniej A. Wajda („Bez znieczulenia") każą żonom odchodzić od mężów i tworzą w ten sposób monotonny obraz małżeństwa w filmie. Ta jednostajność doprowadza do schematyzmu, do sztampy, tak dalece posłużono się uproszczeniem. Jest to efekt wyboru najbardziej s p e k t a k u l a r n e j możliwości rozkładu małżeństwa — jego fizyczny rozpad. Niezwykłe podobieństwo owych filmów w sferze publicystycznej i w warsztacie artystycznym jeszcze uwyraźnia schematyzm: kolejna filmowa żona porzuci kolejnego filmowego męża. Nie bez wpływu na tworzenie się jednostajności jest obecny nurt w kinie, ukazujący kobietę wyzwoloną, którą stać na samodzielną decyzję rozbicia rodziny. Kiedyś w filmie obowiązywała kobieta fatalna, dziś — wyzwolona. I jednych i drugich było i jest w rzeczywistości znacznie mniej, niż to sugerują ekrany.

Różne wypływają konsekwencje z osobistej przegranej i z rozkładu małżeństwa — nie koniecznie odejście żony. Rozkład to również pozostanie żony, ale całkiem „obok" męża, wpadka w alkoholizm którejś z osób, niemożność wspólnego wychowywania dziecka, wzajemna akceptacja pozamałżeńskiego życia erotycznego itd. Gdyby owi reżyserzy chcieli odrzucić schemat i głębiej zastanowić się nad psychologią tworzonych postaci, byłyby one w dramatach osobistych odmienne, tak jak odmienna jest rzeczywistość, a nie podobne tak, jak podobna jest kalka. Co więcej — artystyczna analiza psychologiczna, zawarta w dziele, to także ukazanie samowiedzy twórcy, jego mądrości i dojrzałości wewnętrznej. Znaczy tu chyba fakt, że reżyserzy są przedstawicielami pokolenia, o którym i do którego mówią...

Jedynie F. Falk zrezygnował ze schematu odrzucając z pierwotnej wersji scenariusza „Szansy" („Dialog" 12, 1978) wątek odchodzącej żony. Wprowadził bliższy charakterowi postaci (nauczyciel w.f., trener) „kłopot osobisty" — kontuzję łękotki. Rozbudowa innych wątków może świadczyć, że nie była to mechaniczna zamiana żony na... łękotkę. Film tylko zyskał, a zatem odchodząca żona może w ogóle nie istnieć, a wymowa publicystyczna i walory artystyczne filmu nie ubożeją.

Trudno jednak zarzucić pozostałym reżyserom, że całkowicie upraszczają rzeczywistość. Nie upraszczają jej zanadto, gdyż wydobywają z niej problemy rzeczywiście występujące, a niejasno uświadamiane sobie przez nas na co dzień. Mogą to być nawet filmy „zgrozy moralnej" (J. Głowacki), bo o tę zgrozę chodzi, o strach przed własnym obrazem zawartym w owych filmach, ale niechętnie dostrzeganym (na rzecz np. ostrego widzenia potknięć pokolenia cokolwiek starszego). Gdy jednak zewnętrzne układy człowieka (Polaka) opisane są precyzyjnie (jedyny to moment wykorzystania w pełni umiejętności posługiwania się warsztatem filmowym), to „dyskwalifikacja prywatna" i w konsekwencji nagminny rozpad filmowych małżeństw bierze się za przykład... z upływu czasu (jak w starych filmach z napisami: „Minęło kilka lat"). W „Amatorze" upłynęło tajemniczo pięć miesięcy, z których nic nie pokazano, a jedynie powiedziano o tym, i nie wiadomo jak dwoje ludzi doświadczało przez ten czas rozbieżności charakterów i wartości. Ot, stało się i już.

W tej sferze problemów reżyserzy ze wszystkich możliwości wypowiedzi filmowej wybrali dialog, jako główny środek wyrazu. Filmowane są rozmowy, obraz to często dodatek do słowa i nie w kadrze rozgrywa się dramat, lecz na ścieżce dźwiękowej. I znów Falk w „Szansie" zrezygnował z tych uproszczeń na rzecz bardziej filmowych środków wyrazu.

Nasze pokolenie ma, oczywiście, swój własny kłopot ze „zgrozą moralną" i lubi oglądać filmy o tym, bo dotykają autentycznych, bolesnych spraw. Toteż chętniej je przyjmuje niż np. „Panny z Wilka", jako zbyt „wyestetyzowane". Ale to dzięki artystycznej analizie psychologicznej kreowanych postaci w tym obrazie A. Wajdy odsłania się wiele „przeklętych problemów" ludzkości. Nie sposób od nich odstąpić nawet na rzecz przedkładania skądinąd słusznej i odważnej warstwy publicystycznej. I dlatego postponowanie Z. Kałużyńskiego przez Zb. Mentzla za to, że nie widzi on już teraz następującej odnowy kina polskiego w działalności młodych reżyserów, jest niesłuszne. Pozostaje nadal czekanie, choć dziś te filmy były nam niezwykle potrzebne.

ZŁOTA MILA

Małgorzata Sawicka

KALGOORLIE. Złota Mila albo ziemia, której dotknął Król Midas — to miejsce w Australii Zachodniej słynne z kopalni złota. Ta egzotyczna kraina tak nieodłącznie związała mi się z losami Polaków tam mieszkających, że przypominając sobie czerwoną ziemię i jej osobliwości, odruchowo myślę i o ludziach. Bogactwo Złotej Mili to żadna przesada. Tam nigdy nie wiadomo, o co się człowiek potknie — o półszlachetny opal, agat, beryl, onyx, ametyst czy o bryłkę złota.

Tego roku w australijskie wakacje (u nas panuje wtedy zima) dwu młodych ludzi z Kalgoorlie wybrało się w busz z detektorem, który wyniuchał im udatną, półtorakilogramową grudkę złota. A 80 lat temu kumple Bailey i Ford znaleźli w tych okolicach „bryłkę" (bagatela!) czternastokilogramową. Chwila ta uwieczniona jest na obrazie wiszącym w muzeum w Coolgardie, natomiast podobizny największej, prawie dwudziestodwukilogramowej bryły (znalezionej przez niedoświadczonego siedemnastolatka, Jamesa Larcombe) umieszczone są we wszystkich okolicznych muzeach.

Z odkrywcą złota w tych okolicach mieszkańcy Kalgoorlie pozostają po prostu w zażyłości. Sprytnego szczęściarza, Patricka Hannana, zwanego poufale Paddy, trudno uznać za bohatera narodowego. Miał on chyba niekiepską głowę do interesów, skoro rychło doszedł do wniosku, że żmudne rycie ziemi i płukanie czerwonej gliny to zajęcia mało intratne, po czym rozpoczął handel wodą, którą dostarczał w zamian za woreczki ze złotem. I to dopiero był prawdziwy interes w kraju, gdzie woda jest bez przesady na wagę złota.

Dziś Paddy daje wodę za darmo. Jego statua stojąca obok magistrackiego gmachu to właściwie studzienka. Wystarczy odkręcić kurek przy worku z wodą, a pocieknie strużka zaspokajająca pragnienie.

Wody zresztą w Kolgoorlie jest teraz pod dostatkiem. Już na początku XX wieku było wiadomo, że żaden złoty bussines tu się nie rozwinie, jeśli nie będzie wody Zbudowano więc najdłuższy wodociąg świata. Srebrna rura wije się po powierzchni czerwonej ziemi ok. 600 km z Perth, zaopatruje po drodze w wodę farmy i miasteczka i często do Kalgoorlie w upalny dzień docierа wrzątek.

Ale Paddy częstuje chłodną wodą. Tymczasem już kilka lat z rzędu w Nowy Rok jakiś niewdzięcznik oblewa statuę Hannana czerwoną farbą. Jest to dość kłopotliwe dla władz miejskich, ponieważ statuę wykonano z niezbyt grubej blachy miedzianej pociągniętej czarną emalią, a każde skrobanie czy zmywanie skraca żywot pomniczka. Wyznaczono więc w tym roku nagrodę dla tego, kto złapie maniaka, psychopatę, opryszka — bo kto inny mógłby coś podobnego robić?! Na wszelki wypadek nakryto statuę drewnianą paką. Kiedy ją zdjęto, tej samej nocy Paddy'ego znowu ktoś oblał.

Jakoś trudno mi było uznać to tylko za wybryk chuligański. Może to zemsta za wywołanie gorączki złota, która pochłonęła niejedno istnienie i dotąd jeszcze zbiera ponure żniwo? Bo czy legendarne złote królestwo to raj i dobrobyt, czy też targowisko chciwości, ring, gdzie giną bezradni, a walczą wyłącznie silni i sprytni, co pokorę mogą odczuwać tylko przed bezkresną, czerwoną pustynią pozbawioną wody?

Opowiadała mi pewna Polka mieszkająca w Kalgoorlie od trzydziestu lat, że kiedy z piekła wojny wydostała się na tę pustynię, skwar pełen czerwonego pyłu wydał jej się wtedy dobrodziejstwem. Przywykła do klimatu krainy leżącej na skraju Wielkiej Pustyni Wiktorii. Ale niedawno wyjechała na urlop do Adelaidy — stolicy stanu Południowa Australia. Jest to miasto rozpostarte między górami a morzem, pełne zieleni, gdzie latem wieje kojąca bryza od Wielkiej Zatoki Australijskiej. Kiedy wróciła z urlopu, już na płycie lotniska owiało ją gorące powietrze. Popatrzyła więc na czerwoną ziemię, na krwawo zachodzące słońce i pomyślała, że Kalgoorlie to piekło, że oni żyją w czerwonym piekle.

Miałam podobne wrażenie, gdy wysiadłam z ekspresu zwanego „Prospector", z klimatyzowanego przedziału na peron. Poczułam jakbym niechcący wlazła do pieca chlebowego wylepionego czerwoną gliną.

Potem oglądałam samo miasto: główną ulicę Hannan Str, mogącą służyć za naturalną scenerię do westernu, skąpą, anemiczną zieleń nawet w parku, którego wygląd szczerze mnie zdumiał. Rosło tam trochę eukaliptusów, była betonowa sadzawka, wokół której pieniła się odrobina zielska, atrakcja turystyczna — miniatura średniowiecznego zamku, a poza tym łysa wyprażona słońcem płaszczyzna, z rzadka usiana kępkami spopielałej trawy. A wstęp do „parku" kosztował dolara.

Pani Olga Kucharska ma ze złotem tyle wspólnego, że nosi kolczyki i czasem jakiś górnik czy prospektor zje jajko od jej kury. Ma bowiem fermę kurzą, gdzie gdacze 3 tys. dziobów w różnym wieku. Od żółtych kuleczek, przez niewypierzone wypłosze, do dorodnych kokoszek zdolnych znosić jaja. A rotacja jest duża. W tym klimacie nawet kura szybciej się starzeje i roczna nioska już przestaje był wydajna, bo spod jej ogona nie wypada co dzień jajko.

Ferma daleka jest od doskonałości. Widać nieporadną improwizację gospodarską właścicielki; zagrody dla kurcząt pozbijane są z kawałków drzewa i zardzewiałej blachy. Ale ona sama nie bardzo daje radę, synowie na fermie nie chcą pracować, a mąż nie żyje. Zresztą nawet jak żył — także nie pomagał.

Bo mąż był dziennikarzem i artystą... Dotąd w jego szpargałach zachowały się teksty piosenek, które pisał po wojnie: „Łzy Cygana", „Jeszcze tango":

„Jesień w sercu mym kołacze,
Smutek łzami rozpłakany,
Wkoło jakoś jest inaczej,
Wszystko obce, świat nieznany".

Ale kiedy dawno temu przekraczali równik, wierzyli w „nową nadzieję". Ludomir Korab-Kucharski nawet redagował gazetkę „New Hope" i umieścił w niej zabawny, ale i wymowny rysunek: oto zza horyzontu wyłania się ich statek, a na australijskim lądzie radośnie podskakuje kangur i wyciąga serdecznie łapy do przybyszów...

W Kalgoorlie dostał pracę palacza. W upały temperatura w kotłowni przekraczała 60 stopni Celsjusza Od takiej gorączki nie tylko artysta może dostać pomieszania zmysłów. Przyszedł któregoś dnia mąż z pracy i powiedział, że on tego piekła nie wytrzyma, że albo zwariuje, albo się powiesi. Nie poszedł więcej do pracy... Potem trochę malował, pisał pamiętniki, rozpił się i zmarł młodo.

Próbowałam sprawdzić na własnej skórze, jak to właściwie jest z tą gorączką złota. Najpierw w banku. Mister Gajewski i jego córka Doris ułatwili mi tę wizytę. Ano: trzymałam dwudziestokilogramową sztabkę złota w ręku, fotografowałam, potem obejrzałam cały ich stos w sejfach skarbca — i nic! Zresztą znajomi też nie bardzo umieli mi powiedzieć, co to właściwie jest ta gorączka. Chociaż przyznam, że sztabka podziałała mi na wyobraźnię, gdy dowiedziałam się, że w złotym prostopadłościanie „skoncentrowane" są dwie luksusowe wille z ogrodami, basenami i wodotryskami.

Mr Gajewski był kiedyś górnikiem w kopalni złota, potem niklu, a kilka lat temu przeszedł na rentę inwalidzką. Wypadek zaskoczył go w kopalni, gdy pracował sam, bez towarzysza. Zanim nadeszła pomoc, przeleżał kilka godzin w błocie, z pogruchotanymi kośćmi, przysypany ziemią. Rok leżał w szpitalu, przebył kilka operacji, wreszcie stanął na nogi, choć jedna z nich pozostała sztywna. Teraz mr Gajewski nie ma zdrowia, ale ma rentę i czas, żeby pokazać mi choć niektóre osobliwości Złotej Mili.

Tereny wokół szosy od Kalgoorlie do Coolgardie — miasta także słynnego z wydobycia złota — są rozryte jakby przeszedł tamtędy olbrzymi kret. Pośród eukaliptusów czają się jamy, zapadliny, piętrzą góry przekopanej ziemi. To prospectorzy dręczą ziemię, żeby wydała im swoje skarby. Dla jednego niełaskawa ona, choćby kopał i miesiąc, drugiemu rzuci pod nogi wypłukany przez deszcz samorodek. W sumie trud poszukiwaczy złota rzadko bywa bezowocny... Obok szosy, w nikłym cieniu eukaliptusów prywatna fabryczka. Turkocze koparka, z płuczek wycieka czerwona woda do rowka, nieco dalej apartamenty mieszkalne, klimatyzowana przyczepa campingowa, z której wytoczył się czochrając rudy olbrzym. To właściciel. Sam kopie, płucze, wytapia złoto, a za trzy dolary pozwala także turystom płukać na misie czerwoną ziemię. Złoty proszek przesypuje do fiolki z wodą i wręcza na pamiątkę. I w sumie ma z tego interesu dobre życie.

Korciło mnie zobaczyć prawdziwą kopalnię złota. Naiwnie wyobrażam sobie złote funele, po których chodzi się z dłutkiem i odłupuje bryłki kruszcu. Otóż nic z tego: chodniki podobne są do tych w kopalni węgla, może tylko mniej zasmolone. W skale boruje się dziury, rozsadza dynamitem, urobek transportuje na powierzchnię, gdzie ściera na miał i przepuszcza przez płuczki; złoto osiada na ołowianych płytkach, skąd łatwo już je zgarnąć i przetopić.

Do nieczynnej już kopalni Hainault zjechaliśmy z Cześkiem Malcem, który przepracował tu pięć lat. Przewodnik, stary górnik, który w Heinault został tylko dlatego, że kopalnia niklu stałaby się zapewne jego grobem, pokasłuje, łyka pastylki, łazi pośród stert rdzewiejącego żelastwa, pokazuje wyrobiska, uruchamia świder i skacząc razem z nim drąży dziurę w skale. Potem włącza pompę powietrza i przebiegle nakłada ochraniacze na uszy, choć mu to pewnie nic już nie pomoże, bo na ogół pytanie trzeba trzykrotnie powtórzyć, żeby zrozumiał. Przytępienie słuchu to choroba większości górników. Przy czym nie jest to jeszcze najgorszy los. Bywa, że ten i ów zostaje pod ziemią na wieczną szychtę. Jak Mietek Sobota, co dziesięć lat temu zginął w kopalni. Nie miał bliskich w Kalgoorlie, więc panie z Koła Polek przez kilka lat ciułały pieniądze na nagrobek. Bo jakże to — żadnego po rodaku śladu miałoby nie być? A pani Teresa Malec, przewodnicząca Koła Polek (w którym są także Rosjanka i Niemka), wykorzysta każdą okazję, żeby komuś pomóc. Począwszy od zaproszenia na party samotnych kobiet, poprzez pielęgnowanie chorych, a skończywszy na ostatniej posłudze. Kilka lat temu pani Teresa odwiedziła Polskę (po raz pierwszy od czasów dzieciństwa) i przywiozła w woreczku ojczystą ziemię. Ubyło jej z woreczka sporo, bo i ubywa emigrantów.

Zastanawiałam się dlaczego ta niewielka grupa Polaków żyje tak jak w rodzinie. Czy tylko więzy krwi, czy także izolacja pustynnej krainy od większych skupisk Polonii? A może wiąże ich stałe zagrożenie? W kopalni nigdy nie wiadomo na kogo śmierć wskaże palcem, a niebezpieczeństwo uczy przecież cenić życie, także cudze.

Popijamy z Cześkiem Malcem zimne piwo „Emu", podobno najlepsze w Australii, choć to nie takie pewne, bo lokalny patriotyzm wymaga chwalenia piwa w swoim stanie. W upalne przedpołudnie niewielu tu gości, a kobiet nie ma wcale. Pub nadal jest zastrzeżony dla mężczyzn. Pija się tu piwo bez szczególnej wstrzemięźliwości, a tradycje są nienajgorsze, skoro w muzeum w Coolgardie jest wyeksponowany puchar wielkości dwu waz na zupę, z którego popijał szampana szczęśliwiec, obficie obdarowany przez coś złotem. Tu grywa się w „two up" — rodzaj prymitywnej zabawy w orła i reszkę, tępionej zresztą przez policję i władze stanowe, jako że setki dolarów przepływają z kieszeni do kieszeni i żaden z nich nie zbłąka się do kiesy państwowej „TAB" — australijski totalizator — to hazard dozwolony, otoczony czułą opieką rządu, nie trzeba chyba dodawać, przynoszący mu duże zyski. Tu odbywają się „męskie" rozmowy nierzadko zakończone solidnym łomotem i nabijaniem siniaków. Więc to nie są zabawy dla kobiet. Ich królestwo znajduje się na High Str. Można tam, nie wysiadając z samochodu, obejrzeć towar poutykany w boksach, oświetlony czerwonym światłem. Zatrzęsienie gołych ramion i ud.

Wszystko to jednak stanowi tylko żałosne resztki niegdysiejszej prosperity Złotej Mili, gdzie jeszcze w początkach wieku na sto mieszkańców przypadał jeden hotel i knajpa, gdzie wesołym dziewczynkom płacono bryłkami złota, a piwo było tańsze od wody.

A podobno w upał piwo gasi najlepiej pragnienie. W taką receptę wierzą Australijczycy, a mnie uwierzyć tym łatwiej, że piwo jest faktycznie znakomite. Zamawiamy więc z panem Cześkiem po kolejnej szklanicy.

— Dlaczego pan tu przyjechał?

— Myślałem: łatwo się wzbogacić, skoro chodzi się po złocie.

— I?

— Dorobiłem się tylko licznej rodziny.

— Wierzy pan jeszcze w znalezienie cennego samorodka?

— Inaczej bym tu nie siedział... Ale chcemy się wkrótce przenieść do Perth.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

Przed 75 laty

* Izba Skarbowa Lubelska wzywa właścicieli i dzierżawców oraz zarządzających nimi tak w mieście Lublinie, jak i w miastach powiatowych i w ozadzie Nowo-Aleksandria guberni Lubelskiej, aby podobnie jak zeszłym razem, nie później niż 7—20 stycznia 1905 roku złożyli deklarację o mieszkaniach podlegających obłożeniu państwowym podatkiem z mieszkań.

Szczegóły są zamieszczone w oddzielnych drukowanych ogłoszeniach.

*

* Od kilku dni mamy w Lublinie w sali Towarzystwa Cyklistów wystawę obrazów pędzla p. Sarnowicza. Artysta mianujący się „amatorem", na polu tym pracuje od niedawna, jednakże w pracach swych umieszczonych na wystawie wykazał duży zasób talentu i piękna.

„Gazeta Lubelska"

Przed 50 laty

* Żywe zainteresowanie w Lublinie wzbudziła w ostatnim czasie sprawa zaprowadzenia w naszym mieście popularnych na Zachodzie „ogródków działkowych". Sprawa ta weszła na realne tory. Wyznaczony przez Województwo plac pod ogródki na Czechówce koło Bobolanum został już uregulowany i zaorany. Obecnie komitet ogródków opracowuje plan podziałowy i w najbliższym już czasie przystąpi do rozdawania działek. Z wiosną więc poszczególni kandydaci działek będą mogli swoje tereny obsługiwać i urządzać. Dzierżawa tych placów wynosić będzie zaledwie kilkanaście złotych. Komitet czyni obecnie starania o uzyskanie drugiego terenu w pobliżu obozu południowego. Jest więc nadzieja, że niedługo i Lublin poszczycić się będzie mógł ogródkami działkowymi, które są chlubą i ozdobą miast zachodnich.

*

* Kupiectwo, które przez cały rok wegetuje z dnia na dzień, z niecierpliwością zwykle oczekuje dni przedświątecznych. Tak jest i obecnie. W tej nadziei przygotowało ono większe zapasy na święta. Tymczasem, jak do dnia dzisiejszego, ożywienia w handlu nie ma prawie żadnego, klienci przychodzą, oglądają towar, pytają o cenę i z westchnieniem opuszczają sklepy. Nie ma pieniędzy. A jeżeli ktoś już coś kupi, to zapłaci najwyżej 10% gotówką, a na resztę wystawia weksel. Jest to zjawisko powtarzające się w sklepach każdej niemal branży. Kupcy liczą jeszcze na ostatnie dni.

„Głos Lubelski"

Wybrała Anna Orzechowska

W KRAJOBRAZIE SŁÓW

Na razie Nowy Rok

Zygmunt Mikulski

NIEDAWNO był Nowy Rok, jeszcze słyszę echo wystrzelonych fajerwerków i korków szampana, a ja mam pisać o literaturze. Przecież coraz częściej mówi się, że literatura nie oddaje życia, a jeśli w jakimś minimalnym stopniu, to przedstawia taki jego pesymistyczny, a nawet splugawiony obraz, że należałoby o tym zamilczeć przynajmniej w obliczu okazji tak nobliwej, jak obecna gdy tylko dwie dziesiątki lat dzielą nas od tego upragnionego, czy przerażającego wieku XXI, o którym mówi fantastyczna powieść naukowa i kasandryczna futurologia.

Ale czy literatura w ogóle oddaje rzeczywistość? Oddaje ją dzisiaj? Błogosławiony Homer, który z urządzeń swojej cywilizacji słyszał o tarczy i mieczu, a więc narzędziach wymagających odwagi, a nie wiedzy. Błogosławiony Wergiliusz, który kunszt swej poetyckiej liry sprzągł ze sztuką oczkowania agrestu. Bo już Oświecenie musiało mieć encyklopedystów, a więc ludzi, którym sam talent pisarski nie wystarczał do zajmowania miejsca w życiu umysłowym. Słyszy się o sztukach dramatycznych, powiastkach i powieściach Rousseau, Voltaire'a Montesquieu ale nie znalazłyby się one w krwiobiegu europejskiej literatury, gdyby nie ich stanowisko w zasadniczych kwestiach naukowych swojego czasu. A więc kiedyś pisarz (po okresie arkadyjskiej rustykalności) musiał nie tylko umieć, ale i wiedzieć. Jeszcze bardziej skomplikował to wiek XIX, a jeszcze bardziej jego przełom z XX. Weźmy tylko przykłady polskie. Jan Parandowski był profesorem uniwersytetu, Jarosław Iwaszkiewicz dysponuje rozległą wiedzą humanistyczną i znajomością języków pozwalającą mu swobodnie poruszać się po całym obszarze literatury śródziemnomorskiej i nie tylko, to samo da się powiedzieć o Marii Kuncewiczowej. Czyli: wiedza o rzeczywistości w wypadku tych pisarzy jest wydajną podporą ich pisarstwa — przy założeniu, że literatura ma dawać tejże rzeczywistości pełny i wierny obraz.

No dobrze, ale rzeczywistość się tak skomplikowała, że nawet systemat nauk musiał ulec rozczłonkowaniu, by ją jakoś objąć. Kto więc z pisarzy pokusić się może o pełną teoretyczną podbudowę swojego pisarstwa? Jak np. Stanisław Lem, a kiedyś np. Bruno Winawer, o którym Irzykowski niesłusznie sobie dworował, że to docent fizyki zabłąkany w rejony literatury? Nie mówię po prostu o uniwersyteckim wykształceniu. Seminaria i egzaminy zawsze jakoś można złożyć. Mówię o związku intelektualnego arsenału z temperamentem pisarza, w dodatku arsenału o dziś wymaganym standardzie wyposażenia.

Gdybym miał więcej odwagi, zaryzykowałbym twierdzenie, że literatury współczesnej dziś nie ma. Co bowiem nią jest? Eksploatowanie wątków wiejskiego życiorysu, co jeszcze do teraz się zdarza nasuwając analogie z twórczością ludową, czyli tzw. literacką cepelią? Przecież problemy Kawalca, Nowaka, Myśliwskiego w żadnym stopniu nie odzwierciedlają współczesnej rzeczywistości. Czy może penetracje tropem marginesu społecznego, co z natury rzeczy nie może dać odpowiedzi w sprawie życiowych wzorów, postawy moralnej, światopoglądu? Eksperyment stylistyczny, który świadczy o indywidualnej świadomości autora, ale nie o społecznej świadomości zbiorowej? Nie wiem z jakim rodzajem pisarstwa mam związać swoje czytelnicze nadzieje jako tworzącym oblicze współczesności, współczesnej literatury, współczesnej problematyki literackiej.

Czy nie natykam się na dobre książki? Jakżeby nie! Tylko każda dobra jest skażona — albo nadmiarem ilustracyjności, albo przeładowaniem spraw łóżkowych, albo owym behawioryzmem, który na pierwszy plan nie wiadomo dlaczego wysuwa ludzi skłóconych nie tylko z filozofią swojego czasu, ale najelementarniejszymi normami społecznego współżycia i moralnego postępowania. Każdy boi się napisać po prostu dobrą książkę, żeby nie wyszło, że to „czytadło". Przepraszam, skąd ten pejoratywny termin. Czy lepsze byłoby „nieczytadło"? Coś tak zakalcowatego, że nawet nie trzymającego się uwagi? Sporo „nieczytadeł" już powstało, a „czytadła" każdy autor unika. Osobliwe to czasy, kiedy czytelnik przestał być jedną z zasadniczych kategorii w życiu literackim i wydawniczym.

Można by spytać, dlaczego tak psioczę. Tam trzej królowie do Betlejem bieżą, tu gil wyrasta czerwoną kulką na ośnieżonym płocie, a ja zamiast powspominać sobie fragmenty poezji dotyczące zimy, które tak świetne zostawił nam i Liebert i Tuwim i Galczyński, biorę się do zgrzytania zębami. Czy nie obawiam się, że sztuczna szczęka odmówi mi posłuszeństwa na nie wygasłą jeszcze okazję konsumowania poświątecznych resztek? Obawiam się, i szczególnie pewien wiersz Lieberta, mianowicie „Jurgowska karczma", chętnie bym sobie zaaplikował, ale skleroza poczyniła już znaczne spustoszenia w mojej pamięci, a po egzemplarz artretyzm nie pozwala mi się wspiąć. Zresztą narzekać na literaturę to oddawać jej najwyższą przysługę. Czyż nie? Dlaczego tak żywo wspomina się Brzozowskiego, Irzykowskiego, Witkiewicza, Peipera, a tak mdło Chmielowskiego, Feldmana, Czachowskiego? Ci drudzy wcale nie byli ani ignorantami, ani szkodnikami. Tylko mniej przykładali się do podnoszenia poprzeczki, a więcej do opisu istniejącego stanu rzeczy. Brzozowski odpowiadał, że potrzeba nie wiązać żadnych nadziei z rozwojem literatury, by nie dopingować jej nieustannie wymaganiami. Co przytoczyłem znając proporcjum.

Ale jeśli by można pomarzyć: jaką książkę chciałbym przeczytać? Jaką Dziadek Mróz powinien mi wytrząść z worka? Miałbym apetyt przede wszystkim na niefabularną. Kiedyś, kiedyś przeczytałem Jerzego Ficowskiego „Czekanie na sen psa". Ani bym tego przecież nie filozofa, nie pisarza psychologicznego podejrzewał o podobną przenikliwość. Jak to miło pomylić się in plus! Na próżno oczekuję na coś podobnego innego pióra. Przeczytałem (już znacznie bliżej teraźniejszości) „Uwodziciela" Zbigniewa Nienackiego. Co by to była za dobra książka, gdyby odcedzić z niej całą substancję skandalizującej erotyki! Więc nie zaliczę jej do najwyższego kanonu lektur, ani nadprzyrodzoną osobę nie będę o taką molestował. Natomiast jeszcze raz chciałbym przeczytać „Podróż" Dygata, a także „Cyrograf" Flaszena. Lub coś cyrografo- i podróżopodobnego. Uda się?

Nie wiem jak tam będzie z nowym pokoleniem. Na razie mamy Nowy Rok.

OKO-LICE SZTU-KI

O „Depolmie" inaczej

OKOLO 100 galerii uczestniczyło w Międzynarodowych Targach Sztuki w Kolonii 1979. Proponowały one klienteli towar z zakresu ekspresjonizmu, kubizmu, dadaizmu, surrealizmu, op-artu, concret-artu, minimal-artu i fotorealizmu. Wabiły nabywców obrazami, rzeźbami, grafikami, pokazami typu video, „przedmiotami", rysunkami oraz bogatym wyborem literatury. Przedstawiały klasyków sztuki nowoczesnej i pionierów awangardy. Galeria Gmurzyńska oferowała np. tylko twórczość artystek, które brały niegdyś udział w manifestacjach rosyjskiej awangardy.

Na stałym afiszu galerii Düsseldorfu widnieje 27 instytucji. W Galeries des Arts przy Graf-Adolf-Strasse kupić można Chagalla, Dali, Ernsta, Miro, Picassa i dzieła innych znakomitości, znane nam raczej z reprodukcji. Natomiast w Galerie Unicum spotkacie różne machiny kinetyczne, elektryczne oraz cybernetyczne. Jedna z galerii reklamuje niemiecki informel i malarstwo naiwne, a Denis Rene (filie w kilku krajach) — zazwyczaj sztukę wizualną.

Ten potężny system handlowy funkcjonuje sprawnie i przynosi właścicielom znaczne zyski, choć na pierwszy rzut oka, przy pierwszym zetknięciu się z jakąkolwiek galerią można odnieść zupełnie inne wrażenie, albowiem w przeszklonych pomieszczeniach dostrzega się pełno dzieł wszelakich, lecz bardzo mało ludzi. Zresztą galerie zachodnioniemieckie są z reguły zamknięte na trzy spusty i otwierają się dopiero po naciśnięciu dzwonka u drzwi. Bo są to przybytki dla zamożnej klienteli, nie zawracające sobie głowy takim zadaniem, jak podnoszenie kultury artystycznej społeczeństwa, upowszechnianie sztuki itp. Zupełnie odwrotnie, niż u nas.

Wejście na tak zorganizowany rynek plastyczny jest więc szalenie trudne, wymaga czasu i zabiegów tyle urzędowych, co towarzyskich, elastyczności w postępowaniu i umiejętnego posługiwania się kompromisem. A jeśli na domiar wszystkiego stara się o to instytucja polska?!

W kwietniu minionego roku w jednym z odcinków reportaży z RFN „przejechałem się" nieco po jedynej w tym kraju galerii polskiej sztuki współczesnej, działającej od 29 września 1976 roku w Düsseldorfie dzięki wysiłkom i d o b r e j w o l i dyrektora polsko-niemieckiej spółki handlowej, R. Tobolskiego, który na codzień sprzedaje nasze komputery i inne maszyny, z niezłym, jak mówią, skutkiem finansowym. Miałem za złe „Depolma-Galerie", że handluje czym popadnie: od dzieł wysokiej próby, po tanochę plastyczną oraz jarmarczne koguciki z drewna i kopie ikon, co na pewno budzi mieszane uczucia wśród tej publiczności niemieckiej, która zna się na rzeczy. Galeria, perorowałem, deformuje obraz naszej sztuki w świadomości obywateli RFN, nie posiada profilu etc.

Upłynęło trochę czasu, lepiej poznałem stosunki panujące na zachodnioniemieckim targowisku sztuki, no i obecnie przychodzi mi przyznać się do błędu w ocenie „Depolmy". Owszem, galeria nadal nie ma profilu, obok prac Stażewskiego czy Starczewskiego oferuje skromnych pejzażystów kazimierskich, obok ciekawego szkła parafrazy malarskie na temat ikon, obok sztuki profesjonalnej twórczość ludową — ale wynika to po części z „polityki eksportowej" naszego BHZ „Desa", które zaopatruje placówkę düsseldorfską w towar, a po części z konieczności ekonomicznej, uzależnionej z kolei od specyfiki tamtejszego rynku. Gdyby bowiem galeria próbowała handlować wyłącznie produkcją naszej, mówiąc umownie, awangardy, rychło ogłosiłaby upadłość. Konkurencyjne firmy RFN posiadają na składzie tyle wartości artystycznych pokrewnego rodzaju, wartości uznanych w świecie i odnotowanych w katalogach „Sotheby Parke Bernet" w Londynie, że w ich blasku (finansowo-propagandowym także) polska oferta, niestety, przestaje istnieć. Przez całe dziesięciolecia nie dbając o sensowne promowanie swojej sztuki za granicą, jesteśmy dziś na międzynarodowym rynku sztuki w sytuacji biednego krewnego, który w odpowiednim momencie nie chciał (nie mógł?) pokazać co potrafi. W rezultacie dopiero teraz Amerykanie, na przykład, odkrywają polską fotografię współczesną i jej znakomitą historię — z ogromnym zdziwieniem, że coś tak cennego i atrakcyjnego było i jest na wschodzie Europy.

A „Depolma" to galeria handlowa istniejąca, powtarzam, przy spółce handlowej o zupełnie innym profilu. Taka zaś instytucja musi kierować się rachunkiem ekonomicznym, a według niego właśnie ptaszki i pejzaże opłacają się nieźle w RFN, co umożliwia jednocześnie oferowanie dzieł o wysokich ambicjach. Mamy do czynienia z typowym przejawem taktyki dwupoziomowej, która sprawdza się, bo równoważy wydatki i zyski placówki, co w określonych warunkach można uznać za sukces.

Mimo wszystko, mimo realizmu postępowania, który może budzić kategoryczny sprzeciw perfekcjonistów i ludzi obdarzonych tzw. sumieniem skrupulatnym, „Depolma" zyskuje coraz większą sympatię i uznanie Düsseldorfu. Przykładem najbardziej wymownym jest chyba bezpłatne przekazanie naszej firmie przez władze miasta XVII-wiecznego budynku — na okres kilkudziesięciu lat! Poddawany właśnie zabiegom renowacyjnym przez PKZ, obszerny ten obiekt stanie się niedługo nową siedzibą galerii, która zamiast dotychczasowych 220 m kwadr. będzie dysponowała 1000 takich metrów. Dyrektor R. Tobolski planuje urządzenie kilku ekspozycji: na parterze — srebra, szkła i drobnych form plastycznych, na piętrze, w pięciu salach — malarstwa, grafiki, ewentualnie rzeźby. Znajdzie się też miejsce — w piwnicy — na wystawy sztuki ludowej i naiwnej. W budynku głównym przewidziano ponadto siedem mieszkań (dla personelu i gości z kraju), a w oficynie — pakownię i stolarnię. Istotne przy tym, że nowa galeria zacznie funkcjonować na Starym Mieście, przez które rocznie przewijają się setki tysięcy ludzi ze wszystkich niemal kontynentów. Istnieje szansa, że w Düsseldorfie sztuka polska zyska okno w doprawdy szeroki świat.

A zaczęło się to wszystko od osobistej sympatii pewnego naszego menadżera do malarstwa. Dostrzegł on któregoś dnia, że technika i twórczość artystyczna mogą wspólnie budować polski prestiż za granicą, prestiż zamieniający się ostatecznie w wartości bardziej namacalne.

Wszystkiego dobrego w Nowym Roku, dyrektorze Tobolski...

I J K

PS. Kopie czy wariacje na temat ikon i pejzażyki to ja bym jednak pozostawił w kraju, w salonach (?) „Desy" na przykład.

Kamena str. 12

POETKA ZIEMI CHEŁMSKIEJ

O grudko mojej ziemi,
O relikwio święta!
Jakaś siła nas łączy razem niepojęta!
Bo te soki żywotne,
Co dajesz obficie,
W krew się we mnie zmieniają
I dają mi życie.

TE proste strofy wiersza Pauliny Hołyszowej stanowią jej poetyckie i życiowe credo. Każdy dzień jej życia spędzony w trudzie wiejskiego bytowania, wiązał ją ściśle z ziemią, nakazywał szacunek i miłość do tej matki żywicielki, dawczyni życia i sił. Poetka urodziła się 4 lipca 1892 roku we wsi Strupin Duży leżącej tuż koło Chełma. Tutaj spędziła 83 lata swego niełatwego życia, pracując na skrawku ziemi prowadzonego przez siebie drobnego gospodarstwa chłopskiego. Samotne, pracowite życie krasiła jej w wolnych chwilach, praca pisarska.

Przez wiele lat wiersze Hołyszowej były znane tylko w wąskim kręgu jej najbliższego otoczenia. Jej twórczość późno została odkryta. Chyba pierwsza pisała o niej na łamach „Kameny" w roku 1958 Maria Ginalska. Później znacznie zaczynają ukazywać się jej wiersze w publikacjach. Drukuje je sporadycznie „Ziemia Chełmska", „Wieś Tworząca" i ukazują się jej w antologiach. Już po śmierci poetki wyszedł w roku 1976 zbiorek poezji pod tytułem: „O grudko mojej ziemi".

Paulina Hołyszowa położyła też duże zasługi w dziedzinie etnografii regionalnej. Znając doskonale zwyczaje rodzinnej wsi zbierała skrzętnie materiały dotyczące obrzędów ludowych. Wykorzystała je następnie w opracowaniach inscenizacyjnych pt.: „Nasze wesele" i „Dożynki". Były one wielokrotnie wystawiane na scenach i filmowane.

Serce Pauliny Hołyszowej, przepojone na wskroś gorącym umiłowaniem ziemi ojczystej, przestało bić w dniu 7 października 1975 roku. Poetka umarła w swym ojczystym Strupinie i pochowana została na cmentarzu parafialnym w Chełmie.

W roku ubiegłym ukazał się medal pamiątkowy poświęcony pamięci Hołyszowej. Wydany został nakładem Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Chełmie w 1000 egzemplarzy, w dwu wersjach powłokowych (patynowanej i srebrzonej). Autorem jego jest artysta rzeźbiarz warszawski Edward Gorol, a wykonawcą — Mennica Państwowa.

Emitent (oddział PTTK w Chełmie, ul. Mickiewicza 9) posiada jeszcze niedużą liczbę egzemplarzy rezerwowych prezentowanego medalu, które przeznacza do rozprowadzenia w drodze sprzedaży wśród zainteresowanych.

K. Prożogo

„ŚCIEŻKOM" -SZEROKIEJ DROGI!

Z DUŻYM zainteresowaniem powitać należy nową inicjatywę „Głosu Świdnika" jaką są kolumny społeczno - literackie pod nazwą „Ścieżki", które ukazały się w numerze z 20 listopada br. Narodziny odbyły się skromnie, bez buńczucznych deklaracji programowych, w jakie zwykle obfitują tego rodzaju inicjatywy. W artykule wstępnym, stanowiącym — jak należy się domyślać — wspólny głos pięcioosobowego zespołu redagującego, mówi się o potrzebie aktywizacji kulturalnej 30-tysięcznego Świdnika ten kierunek działania stanowi chyba najbardziej obiecująca i potrzebna perspektywę.

A co czytamy w pierwszych „Ścieżkach"? Wypełnia je, poza wspomnianym artykułem felieton o czytaniu, odbiorze i w ogóle potrzebie poezji publikacja o już piętnastoletniej historii Klubu Młodych Pisarzy oraz, na drugiej stronie, kolumna poezji 8 autorów w tym 4 całkiem udane debiuty. Interesującymi przerywnikami plastycznymi są ekslibrisy Jana Tomaszka.

Jak na początek — całkiem nieźle. Oby tak każdego miesiąca, bo wspomniane kolumny mają ukazywać się raz na miesiąc. „Ścieżkom" więc cóż życzyć na starcie, jak nie — szerokiej drogi!

(hp)

Spotkania muzyczne w Baranowie

Stefan Münch

MUZYKA i poezja posiadają wspólną dziedzinę, z której czerpią i tworzą — krajobraz duszy. Te słowa, wyjęte z książki *Texte deutscher Lieder* wielkiego niemieckiego śpiewaka, Dietricha Fischer-Dieskau, w sposób modelowy ilustrują sens i aurę intelektualną ostatnich Spotkań *Muzyka i literatura*, a zatem konfrontacja dwóch dyscyplin sztuki na pozór rozbieżnych, autonomicznych; hasło to prowokowało do dalszych roztrząsań wzajemnych relacji, podobieństw, nieprzekraczalnych różnic, możliwości integracji. Zaproszono wybitnych pisarzy i teoretyków literatury, kompozytorów i teoretyków muzyki. Sądzę, że w tej właśnie, jakby ex definitione obecnej, dialogiczności Spotkań tkwią ich niesłychane doniosłe dla naszego myślenia o kulturze sensy i inspiracje. I dlatego właśnie impreza w Baranowie jest jedną z najważniejszych w polskim życiu muzycznym, chociaż nie lansuje się tu nowych prądów, nie przeprowadza bezlitosnego rozrachunku z tradycją, nie epatuje słuchacza oryginalnością i świeżością pomysłów. Przeciwnie, „podtytuł" Spotkań, *Ars antiqua — ars nova* wskazuje, że idzie o konfrontowanie żywej historii z żywą teraźniejszością, o spotkanie epok, stylów, postaw, światopoglądów, doktryn estetycznych, w najbardziej elementarnym sensie o współistnienie dawnej i nowej muzyki. Oczywiście, założenia te byłyby tylko pustymi formułami, gdyby nie zostały one zaakceptowane przez uczestników dyskusji, konwersatoriów, wieczorów autorskich i koncertów. Nie można tu, rzecz prosta, mówić o wspólnych orientacjach światopoglądowych, estetycznych i naukowych, o jednej płaszczyźnie metodologicznej, o „kluczu" charakterologicznym — bo wówczas umknęłoby to, co stanowi najbardziej ważki walor tych dziewięciu dni: swobodna wymiana myśli i wzajemne oddziaływanie rozmaitych temperamentów. Czynnikiem jednoczącym różne postawy i poglądy jest w tym przypadku niewątpliwie przekonanie, że podejmowanie refleksji na temat zjawisk kultury, a więc tego, co przynależy do sfery duchowości, jest nade wszystko działaniem, uprawianiem hermeneutyki. Objaśnianie tekstów muzycznych i literackich, uczenie innych rozumienia siebie i innych, ujawnianie znaczeń ukrytych, struktura rozmowy i gotowość do powszechnego dialogu łączą się z tym, co tak uderzająco trafnie określił Bohdan Pociej, zdając sprawę ze Spotkań 78: „łączy uczestników szczególne wyczucie *humanitas*, wrażliwość na duchowy pierwiastek ludzki, na etyczną z natury istotę człowieka. I myślę, że skrytym pragnieniem ludzi, którzy w Spotkaniach uczestniczą, jest ponowne zespolenie pierwiastków tak boleśnie i dramatycznie rozdzielonych przez świadomość nowożytną: estetycznego z etycznym, piękna z dobrem".

W programie Czwartych Spotkań Muzycznych dawały się wyodrębnić trzy zasadnicze plany, powiązane ze sobą systemem skomplikowanych zależności — twórczość, refleksja badawcza, praktyka wykonawcza. Twórczość stanowiła naturalną osnowę spotkań z wybitnymi pisarzami (Maria Kuncewiczowa, Anna Kamieńska, Wisława Szymborska, Jarosław Iwaszkiewicz, Jerzy Harasymowicz-Broniuszyc) oraz konwersatoriów kompozytorskich (Henryk Mikołaj Górecki, Krzysztof Meyer). Tutaj może dialogowych spięć było najmniej: pisarze i kompozytorzy starali się przy okazji prezentacji swoich utworów formułować założenia, rozświetlać mroki skrywające źródła inspiracji, przekładać na język dyskursu to, co raczej z natury nieprzekładalne.

Na planie badawczej refleksji rozważano związki zachodzące między muzyką a literaturą, zastanawiano się nad sposobem istnienia jednostkowych faktów z obu dziedzin sztuki, poddawano szczegółowemu oglądowi zagadnienia tworzywa. Literaturoznawców interesowała przykładowo kwestia tzw. muzyczności poezji (Maria Podraza-Kwiatkowska: *O muzycznej i niemuzycznej koncepcji poezji*, Jan Błoński: *Jak odbieram muzyczność w liryce współczesnej*), sposoby mówienia o muzyce w prozie narracyjnej (Michał Głowiński), muzyczne inspiracje w poezji romantycznej (Czesław Zgorzelski) i próba porządkująco-systematyzującego opisu zjawisk składających się na polską eseistykę muzyczną (Krzysztof Dybciak). Teoretycy muzyki z kolei podjęli refleksję nad muzyką programową, funkcją i strukturą tekstu słownego u Pendereckiego (Regina Chłopicka) i u Góreckiego (Krzysztof Droba), pieśnią jako gatunkiem, na którego gruncie spotyka się słowo i dźwięk (Zofia Helman o *Vier ernste Gesänge* Brahmsa, Zygmunt Mycielski o pieśniach Schuberta). Szczególnie finezyjnym przykładem zastosowania postępowania hermeneutycznego był fascynujący pełnią wszechstronnego zainteresowania sferą *Humanitas* esej Bohdana Pocieja *Dwa pożegnania. Monteverdi: Combatimento di Tancredi e Clorinda, Mahler: Abschied (z Das Lied von der Erde)*. Tu właśnie, w trakcie dyskusji po referatach, dokonywała się owa wymiana myśli, krążenie idei.

I wreszcie plan trzeci, który określiłem mianem praktyki wykonawczej, a zatem żywa muzyka jako dopełnienie problematyki sympozjum, a zarazem ostateczna instancja dla wszelkich sporów i wątpliwości. Dominowały interpretacje pełne pasji, emocjonalnego napięcia, niekiedy ekstatyczności, ale zarazem subtelne i poetyckie. Dojrzałe, w szczegółach dopracowane *Ballady* Brahmsa w wykonaniu Ewy Bukojemskiej, porywający recital Eugeniusza Knapika (*Vingt regards sur l'Enfant Jésus-Christ* Messiaona), ilustrujący wypowiedziane niegdyś słowa kompozytora o muzyce, która byłaby „wirowaniem dopełniających się barw", fascynująca wrażliwość i poetycka refleksyjność pianistki Haliny Kochan (w recitalu Olgi Szwajgier i w *Perpetuum mobile* Kutaviciusa) — to wszystko młodzi wykonawcy, których wspólną cechą okazała się żarliwość, pasja i szczerość w uprawianiu muzyki.

Podziwialiśmy bezbłędne wyczucie idiomu muzyki współczesnej, organizujące interpretacje Heleny Łazarskiej — Sprechgesang w *Pierrot lunaire* Schönberga i partia sopranu w utworach kameralnych Krzysztofa Meyera. Z dużą kulturą, ale ze zbyt małym ładunkiem dramatyzmu Wojciech Jan Śmietana zaprezentował *Dichterliebe* Schumanna i *Drei Gedichte von Michelangelo* Wolfa. Trzy zespoły, specjalizujące się w muzyce dawnej, utwierdziły nas w przekonaniu, że jest to nadal żywy i inspirujący obszar muzycznej kultury. Najbardziej podobali mi się wiedeńscy *Les Ménestrels* (dyr. Walter Michel, w programie pieśni kompozytorów włoskich XIV wieku), moskiewski zespół *Madrygał* bowiem, występujący w dwóch koncertach (utwory włoskie, angielskie, rosyjskie, francuskie i polskie), zaził niedostatkami intonacyjnymi solistów. Madrygaliści Warszawskiej Opery Kameralnej (dyr. Józef Bok) dawali się także słyszeć w lepszej dyspozycji; co więcej, soliści (Krystyna Sierakowska i Adrian Milewski) skutecznie tłumili dobre chęci chóru. Innych zgoła wrażeń dostarczył koncert wypełniony dwoma utworami Pergolesiego: *Stabat Mater* i *La Serva Padrona*, przede wszystkim za sprawą młodych, rokujących wielkie nadzieje wokalistów. Wśród nich najciekawszym głosem, doskonale postawionym i wyszkolonym, dysponuje Ewa Kowalczyk (partia sopranu w *Stabat Mater*), w pewnym oddaleniu postawiłbym Mariolę Kowalczyk (mezzosopran w *Stabat*), Elżbietę Szmytkę i Tadeusza Piszka (duże umiejętności aktorskie). W obu wypadkach śpiewakom towarzyszyła Mała Orkiestra Symfoniczna Tarnobrzeskiego Towarzystwa Muzycznego pod batutą Andrzeja Kucybały. *Requiem* Mozarta poprowadził w sandomierskim kościele św. Jakuba Antoni Wit, mając zadanie dość niewdzięczne w sytuacji całkowitej zmiany kwartetu solistów. Okazało się, że mógł liczyć tylko na orkiestrę i chór PRiTV w Krakowie, soliści bowiem nie stanęli zupełnie na wysokości zadania (zwłaszcza tenor i bas).

Wreszcie — kilka słów o szczytach festiwalu. Były nimi bez wątpienia dwa recitale wokalne, zasługujące na to, aby je zarejestrowano na płytach. Halina Łukomska z Jerzym Romaniukiem (*Dietskaja* Mussorgskiego, *Siete canciones populares españolas* de Falli, pieśni Debussy'ego i Szymanowskiego) oraz Andrzej Hiolski z Jerzym Marchwińskim (*Liederkreis* Schumanna, pieśni Schuberta, Moniuszki i Karłowicza) wznieśli się na wyżyny sztuki wokalnej.

Poszukując formuły reasumującej te rozważania i uwagi, próbującej dać odpowiedź na pytanie o najgłębszy sens tych Spotkań, odnalazłem w pamięci atmosferę ostatniego wieczoru, nocy już właściwie, kiedy po zakończonym recitalu Andrzeja Hiolskiego skupiliśmy się na zamkowym dziedzińcu, aby pod chmurnym niebem wysłuchać *Beatus vir* Henryka Mikołaja Góreckiego. I to poczucie wspólnoty, porozumienia, ruchu idei, wreszcie wrażliwości na wspomnianą sferę *humanitas* — jest sensem Spotkań w Baranowie.

KRONIKA KULTURALNA

◆ 12 i 13 grudnia 1979 r. obradował w Lublinie V Krajowy Zjazd Stowarzyszenia Twórców Ludowych, organizacji skupiającej 1298 członków zwyczajnych i wyjątkowo aktywnej w dziele prezentacji własnego dorobku. Wręczono nagrody państwowe i dyplomy, rozdano doroczne nagrody im. Jana Pocka, które przypadły: Janowi Bernasiewiczowi, Wawrzyńcowi Cichemu, Józefowi Citakowi, Władysławowi Kuchcie i Mariannie Pawlak. Prezesem Zarządu Głównego STL wybrano Mieczysława Biernacika z Zakopanego.

◆ Egzekutywa KW PZPR w Zamościu pozytywnie oceniła stan realizacji programu rozwoju kultury w tym województwie, zwracając jednak uwagę na konieczność polepszenia pracy środowiskowej i instruktażowej WDK. Wiele też do życzenia pozostawia zainteresowanie działalnością kulturalną w zakładach pracy, w instytucjach obsługujących rolnictwo i w spółdzielczości mieszkaniowej. Maleje liczba klubów „Ruchu" i „Rolnika", niezbyt dobrze przedstawia się baza kin i księgarń.

◆ Sesja naukowa i wystawa historyczna to główne punkty obchodów 35-lecia Biblioteki Głównej UMCS, która przez wiele lat działała w trudnych warunkach, aby ostatecznie przenieść się do okazałego obiektu i stwierdzić po pewnym czasie, że tu także robi się ciasno, przede wszystkim w magazynach.

◆ W kwietniu br. minie 20 lat od powołania Zespołu Pieśni i Tańca Akademii Rolniczej w Lublinie, który zdążył dać już ponad 1200 koncertów w Europie, Azji i Afryce. Zespół liczy obecnie ponad 140 osób, ale chętnie przyjmie nowych muzyków. Działa już komitet obchodów jubileuszu, na którego czele stanął rektor AR, prof. dr hab. Janusz Welento.

◆ Wojewódzkie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych skończyło 19 lat działalności. W lokalu stowarzyszenia otwarto okolicznościową wystawę członków TPSP, przedstawiającą na ogół pejzaże, kwiaty, martwe natury, portrety, a z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka wręczono najmłodszym obrazy. Sympatykom sztuki spod znaku TPSP życzymy w Lublinie sukcesów.

◆ Studia na Wydziale Architektury Wnętrz Instytutu Sztuk Plastycznych we Lwowie Anna Smolana ukończyła w 1945 r. Mieszka w Sopocie, w Zamościu pokazała w grudniu (BWA) projekty zabawek i lalek oraz tkanin aplikowanych dla dzieci.

◆ Kolejny absolwent, a obecnie pracownik Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS wystąpił z wystawą grafiki pt. „Struktury organiczne i mechaniczne" w studenckiej galerii „Kont" przy ul. Zana. Wystawę Adama Panka warto było odwiedzić.

◆ Klub MPiK przy ul. Leonarda w Lublinie urządził wystawę tkaniny artystycznej Bożenny Jewsiewickiej.

◆ W życiu ZPAP zaczyna się kształtować dziwne zjawisko: na 130 członków tego związku przypada w makroregionie lubelskim aż 69 absolwentów wyższych uczelni artystycznych, skupionych w kole młodych i czekających na nabranie takich praw (i lat stażu), które umożliwią im starania do ZPAP. Tymczasem narzekają na brak zleceń na prace użytkowe ze strony PSP i na brak pracowni. Sprawa warta jest uwagi także i z tego względu, że młodzi plastycy są faktycznie nieobecni w życiu twórczym, jeśli nie liczyć dwóch — trzech osób, realizujących się zresztą w skali lokalnej.

◆ „Nabytki malarstwa i sztuki zdobniczej w XXXV-leciu PRL" — to tytuł wystawy, na którą zaprasza Muzeum Okręgowe w Lublinie.

◆ Spotkania z władzami miasta i społeczeństwem, cykl imprez artystycznych (wystawy malarskie i fotograficzne, filmy, koncert galowy) — oto co złożyło się m. in. na „Dni Chełma w Łucku", które odbyły się w dniach 11—13 grudnia ub. roku.

◆ KSIĄŻKI ◆ KSIĄŻKI ◆ KSIĄŻKI ◆ KSIĄŻKI ◆ KSIĄŻKI ◆

Wizerunki historyków dwóch stuleci

„KLIO, chociaż jako najstarsza z muz zajęła się spisywaniem przeszłości innych, zlekceważyła to zadanie wobec samej siebie". Ta niewątpliwie zgrabna i sugestywna metafora, którą chętnie posługiwali się w okresie międzywojennym teoretycy historiografii, kryła w sobie w istocie dosyć ciężki zarzut pod adresem dawniejszego dziejopisarstwa, nie wykazującego większego zrozumienia dla spraw własnych tradycji. Zarzut to na pewno słuszny i sprawiedliwy, albowiem na tym odcinku nagromadziło się wiele poważnych i dotkliwych zaniedbań. Nie wydaje się jednak, aby spowodowane one zostały tylko lekceważącym stosunkiem poprzednich badaczy do problematyki historiograficznej. Można bowiem przytoczyć wiele przykładów świadczących o tym, że już nawet historycy dziewiętnastowieczni nie przechodzili nad nią do porządku dziennego. Od czasu do czasu pojawiały się wtedy specjalne opracowania głównie w postaci rozmaitych krytycznych przeglądów literatury danego przedmiotu, metodycznych zestawień prac historycznych, czy wreszcie biografii „mistrzów dziejopisarstwa".

Tak więc Klio od dawna podejmowała wysiłki w kierunku poznania i opisania swojej przeszłości. Jednakowoż te pierwsze przedsięwzięcia dziejopisarskie przyniosły dosyć mierne, niedojrzałe owoce. Rozwój nowoczesnych badań historiograficznych nastąpił dopiero wówczas, gdy zostały sprecyzowane podstawowe założenia, zadania i metody tej dyscypliny historycznej. Zasadnicze znaczenie miało tu zwrócenie uwagi na konieczność studiowania dziejów myśli historycznej nie w oderwaniu i izolacji od całokształtu procesów dziejowych (takiemu ujęciu hołdowały starsze opracowania), lecz w ścisłej z nimi łączności i powiązaniu. Z uświadomienia sobie tej dziś tak oczywistej prawdy, że nie tylko historia jest nauczycielką życia, ale również życie może być mistrzem historii, wypływają konkretne i ważne dyrektywy badawcze, które obowiązują już nawet w najprostszym rodzaju studium historiograficznego — biografii historyka.

Na takich właśnie słusznych założeniach metodologicznych opiera się cała bujnie rozwijająca się działalność naukowa współczesnych polskich badaczy historii dziejopisarstwa. Z satysfakcją należy odnotować fakt, że w tym licznym i zróżnicowanym pod względem zainteresowań badawczych gronie specjalistów wysokiej rangi i autorytetu dorobił się znany i wybitny przedstawiciel lubelskiego środowiska historyków, profesor (obecnie emerytowany) UMCS, Juliusz Willaume. Osoby tego znakomitego badacza czasów nowożytnych, dziejów naszego regionu, zasłużonego nauczyciela i wychowawcy wielu pokoleń historyków, nie trzeba chyba szerzej przedstawiać czytelnikom „Kameny". Pismo bowiem wielokrotnie prezentowało jego sylwetkę, najczęściej w związku z kolejnymi jubileuszami uczonego. Właśnie dwa takie piękne i szacowne jego jubileusze: 75-lecie urodzin i 55-lecie pracy naukowej, przypadły na rok 1979. Z tej okazji prof. Willaume otrzymał następne wysokie odznaczenie państwowe, wiele zasłużonych i serdecznych gratulacji i życzeń oraz jakże wartościowy prezent w postaci ... własnej książki. Pomyślny bowiem zbieg okoliczności sprawił, że w ostatnich miesiącach jubileuszowego 1979 r. na rynku księgarskim pojawiła się publikacja J. Willaume'a, zawierająca wybór jego wcześniejszych prac z zakresu historii historiografii.

Prace te od dawna były znane znawcom tego przedmiotu, nadzwyczaj szybko i na trwałe weszły również do obiegu naukowego. Rozsiane jednak po różnych czasopismach i wydawnictwach nie zawsze były łatwo dostępne dla czytelników. Z tym większym więc uznaniem i wdzięcznością należy odnieść się do tej zrealizowanej tak sprawnie i terminowo inicjatywy wydawniczej. Dzięki niej mamy dodatkową możliwość zapoznania się z niektórymi kierunkami i plonami badawczymi prof. Willaume'a jego solidnym warsztatem naukowym, znanymi powszechnie i cenionymi walorami pisarstwa historycznego.

W publikacji zamieszczono 12 rozpraw i artykułów omawiających dorobek i poglądy badaczy czasów nowożytnych. Książka, gdy chodzi o jej zawartość tematyczną rozpada się niejako na dwa działy — dziejopisarstwo polskie i obce. Pod względem liczby opracowań i ich objętości góruje niewątpliwie dział drugi. Już ta okoliczność wskazuje na fakt szerokiego i intensywnego zaangażowania się autora w studiowanie dziejów myśli historycznej w skali powszechnej. Tego typu profil zainteresowań nie występuje zbyt często w praktyce współczesnego dziejopisarstwa polskiego.

Zebrane prace charakteryzuje mozaika rodzajów studiów historiograficznych. Mamy więc opracowania wybranego okresu w dziejach myśli historycznej (szkoły pozytywistyczne w Polsce), jednego jej nurtu (francuscy historycy-apologeci Napoleona), stosunkowo jednak najwięcej rozpraw i szkiców odnosi się do wybitnych przedstawicieli polskiego i obcego (francuskiego i niemieckiego) dziejopisarstwa. Autor przedstawia bądź to ich pełną biografię (Sz. Askenazy, M. Lehmann — postępowy i życzliwy Polakom historyk niemiecki), bądź jeden z działów ich twórczości (E. Driault i G. Lefebvre, A. Latreille — francuscy napoleonolodzy, F. Raumer — XIX-wieczny niemiecki znawca problematyki polskiej), bądź wreszcie ich poglądy w kwestiach bardziej szczegółowych (Askenazy wobec ks. J. Poniatowskiego). Poza ten ogólny schemat wychodzą opracowania, w których obok problematyki historiograficznej uwzględniane są szerzej zagadnienia sensu stricto historyczne (polskie losy legendy napoleońskiej, biografia ks. Józefa).

W książce reprezentowane są prawie wszystkie gatunki pisarstwa historycznego, którymi posługuje się w swej twórczości autor. Są tu więc obszerne rozprawy (Raumer, Askenazy), artykuły naukowe, teksty referatów, artykuły recenzyjne (np. nowy zarys historii Niemiec). W wydawnictwie znalazły się zarówno opracowania nowsze, jak i dawniejsze, opublikowane po raz pierwszy jeszcze w latach 50-tych. I jedne i drugie jako w pełni udane wytwory nowoczesnej historii historiografii, zachowują jednakową aktualność oraz liczne i cenne walory naukowe.

W refleksji na temat świeżo opublikowanego zbioru prac historiograficznych prof. Willaume'a nie sposób nie zwrócić uwagi na wprawdzie dosyć zwięzły, ale napisany interesująco i barwnie wstęp. Wyszedł on spod pióra Wiesława Sladkowskiego, wychowanka i ucznia profesora, dziś wybitnego i cenionego specjalisty w dziedzinie historii nowożytnej polskiej i powszechnej.

Na zakończenie wypada złożyć gratulacje Wydawnictwu Lubelskiemu, które włożyło wiele skutecznego wysiłku i trudu w to, aby książce nadać tak znakomitą oprawę (bardzo udana obwoluta i okładka) oraz szatę graficzną. Jednakowoż satysfakcja edytora, a także i odbiorcy tomu, byłaby z pewnością jeszcze większa, gdyby publikację wyposażono w indeks osób, zaś redakcja techniczna zadbała o przeprowadzenie sumiennej korekty. W załączonej erracie uwzględniono zaledwie część przykrych niekiedy pomyłek drukarskich.

Stanisław Wiśniewski

Juliusz Willaume: „Epoka nowożytna w dziejopisarstwie polskim i powszechnym", Lublin, 1979, Wydawnictwo Lubelskie, ss. 278.

Kamena str. 14

ekran i widz

Re-animacja a la Walt Disney

STUDENCKI Dyskusyjny Klub Filmowy „Bariera" w Lublinie zorganizował w grudniu seminarium filmowe „Mistrzowie filmu animowanego". Były eksperymentalne filmy Normana McLarena, wyoltne pozycje filmowe Lenicy i Borowczyka, dano m. in. retrospektywę twórczości Ryszarda Czekały, Mirosława Kijowicza, Juliana Antonisza. Długie metraże reprezentowały dzieła tej miary co „Dzika planeta" René Laloux'a, „Stworzenie świata" Eduarda Hofmana oraz „12 prac Asterixa" René Goscinnyego i Alberta Uderzo — film, który wszedł właśnie w Polsce do szerokiego rozpowszechnienia. Nie obyło się, oczywiście również bez naszej „Wielkiej podróży Bolka i Lolka" Władysława Nehrebeckiego i Stanisława Dulza, kroczącej triumfalnie od dwóch lat przez ekrany świata. Oglądając te wszystkie bardziej lub mniej wybitne i nowatorskie filmy, czekaliśmy — powiedzmy to sobie szczerze — przede wszystkim na filmy Walta Disneya: „Zakochanego kundla" oraz „Królewnę Śnieżkę".

Niezależnie bowiem od tego jakimi drogami poszła późniejsza twórczość Walta Diseya, jak bardzo jego filmy się skomercjalizowały a przede wszystkim skostniały w swej manierze, jest on wszak tym człowiekiem, od którego zaczęła się naprawdę historia filmu rysunkowego. Zaś „Królewna Śnieżka", która zbierała na swej drodze przez ekrany tyle głosów zachwytu co i brała cięgi od krytyki, stała się legendą. Była też jednym z największych sukcesów światowego kina, a już na pewno największym sukcesem w obrębie filmu rysunkowego. Trzeba dodać, że jednym z jego głównych atutów była muzyka. „Serce mam tylko jedno" oraz „Hej ho, hej, ho do pracy by się szło" stały się światowymi przebojami i wcale się do dzisiaj nie zestarzały.

Walt Disney potrafił doskonale wykorzystać koniunkturę. Od osiemnastego roku życia, tj. od r. 1919, tworzył filmy rysunkowe. Na razie nieme i czarno-białe. Pracował w bardzo mało jeszcze znanej dziedzinie filmu: wszak pierwszy film rysunkowy stworzył Stuart Blackton w 1907 roku, a popularność zdobył w Stanach Zjednoczonych powstały w dwa lata później „Dinozaurus Gertie" Winsora Mac Kaya. Warto zwrócić uwagę na ten tytuł: zapowiadał on opowieść o przygodach zwierzęcia, przedpotopowego dinozaura, a spieszczenie imienia mówiło, że film będzie śmieszny, zabawny, było to wreszcie imię ludzkie; przygody zabawnego dinozaura mogły się kojarzyć z zachowaniem człowieka, z jego słabostkami i śmiesznostkami. I tak właśnie się stało, że ów „antropomorficzny" kierunek w filmie rysunkowym zrobił następnie największą karierę.

Wyznawcą „antropomorfizmu" w kinie rysunkowym był Walt Disney. Jeszcze w czasach filmu niemego zachwycano się jego serią kreskówek o przygodach zajączka Oswalda. Ale w prawdziwy zachwyt wprawiły widzów na całym świecie dopiero disneyowskie przygody Mickey Mouse, małej sprytnej myszki — pierwszy rysunkowy film dźwiękowy.

Mickey Mouse narodziła się w 1928 r. a w 4 lata później została uhonorowana „Oscarem". Sukces szedł teraz za sukcesem: w 1932 r. powstał „Szalony pies Pluto", w 1933 r. — „Trzy świnki" (znowu „Oscar") w 1934 r. zaczęły się ukazywać kolejne przygody „Kaczora Donalda". Ogromna spostrzegawczość, poczucie humoru i tworzenie „od ręki" niezliczonych komicznych sytuacji a przy tym wielki zmysł satyryczny, wreszcie tak ważna w tego rodzaju filmach umiejętność „ogrywania" szczegółu — oto co dawało siłę ciekawym plastycznie i melodyjnym filmom Walta Disneya.

W 1938 roku Disney zrealizował swoje wielkie zamierzenie, ukazała się na ekranach „Królewna Śnieżka"; właściwie — „Królewna Śnieżka i siedmiu Krasnoludków" „Snow White and the Seven Dwarfs") jak brzmi oryginalny tytuł. Fabułę oparto na znanej baśni braci Grimm o Królewnie Śnieżce, którą otruła zła Macocha — Czarownica, bo chciała być najpiękniejsza na świecie. Na nic się zdały wszelkie starania siedmiu krasnoludków, u których znalazła schronienie Śnieżka. Dopiero — jak to w baśniach często bywa — przywróciła ją do życia potęga miłości, zmaterializowana w pocałunku pięknego Królewicza.

Film kręcono dwa lata, wydano na produkcję 1 700 tysięcy dolarów, rysownicy-animatorzy oraz kompozytorzy wylazili ze skóry, aby zrobić dzieło nad dziełami. Istotnie, film miał szalone powodzenie. Już po roku wyświetlania wpływy netto przekroczyły 8 milionów dolarów. „Królewna Śnieżka" została zbubbingowana w wielu językach świata, w tym także (niezwykle jak na owe lata u nas curiosum!) na język polski. Była „Królewna Śnieżka" przy tym jakby kwintesencją ówczesnego kina amerykańskiego: ckliwy melodramat sąsiaduje w niej z musicalem, film grozy z filmem gangstersko-kryminalnym, a na dodatek jest jeszcze i... western: ta doskonała sekwencja, w której Krasnoludki pędzą na grzbietach sarenek na ratunek Królewnie Śnieżce. No i Królewicz „re-animuje" Królewnę Śnieżkę jak na typowy amerykański happy end przystało.

Publiczność szalała. Natomiast krytyka liczyła i wytykała błędy. Jerzy Toeplitz przytacza w swej „Historii sztuki filmowej" zdanie amerykańskiego pisarza Christophera La Farge, który pisał że „figurki krasnoludków przypominały tanich wodewilowych błaznów, a wszędzie tam, gdzie twórca kierował swe spojrzenie w stronę ludzi, opowiadanie trafiało w banał i grzeszyło złym smakiem". I miał rację. Ale cóż znaczą słowa krytyków? Publiczność nawet w słabszym artystycznie filmie wyczuje p r a w d z i w e kino.

Bo publiczność przede wszystkim chce poddać się magii kina, jego dziwnemu, niepowtarzalnemu czarowi emanującemu ze srebrnego ekranu. A magię kina wyzwalają filmy Walta Disneya. Nawet ich nieudolne, kalekie, czarno-białe kopie, takie jak ta w DKF „Bariera". Dzisiejsza młodzież tak samo bawiła się na „Królewnie Śnieżce" jak ich rodzice i dziadkowie przed czterdziestu z górą laty.

I tym optymistycznym w sumie akcentem chciałbym zamknąć dzisiejszy, noworoczny felieton, życząc wam Drodzy Czytelnicy wielu happy endów w 1980 r. oraz — Do Siego Roku!

M. D.

POCZTA literacka

T.G. Stalowa Wola. Nie mogę zabrać głosu w pańskiej kwestii na temat celowości pisania, jego wartości itd. Są to sprawy, które piszący powinien rozstrzygnąć sam ze sobą. Mogę tylko zauważyć, że już jest źle, kiedy taka kwestia powstaje. Istnieje coś takiego jak imperatyw tworzenia, przymus tak bezwzględny, że na drugi plan spycha wszystkie inne kwestie. Jeśli Pan tego nie czuje, rzeczywiście daremne są próby uprawiania tej profesji. Wiem, w pańskim pytaniu chodzi o co innego. O to mianowicie, z jakim skutkiem u czytelnika spotyka się pańska literacka robota. Więc służę swoim czytelniczym doświadczeniem. Są to teksty, w których wyraźnie widać znamiona początku, nie obrosłe jeszcze rzemieślnicza sprawnością, którą nabywa się z latami praktyki. Może się pan obruszyć na tę rzemieślniczość, ale — jak w każdej robocie — i tu jest ona potrzebna. Przykład geniuszów wcale tego nie przekreśla. Oni tylko w szybszy — by nie rzec: błyskawiczny — sposób nabyli te umiejętności, które innym przychodzą drogą długoletniej praktyki.

G.J. Łódź. Moim zdaniem, nie uwzględnia Pan tego, co jest w poezji międzysłowiem. Postulat kondensacji traktuje Pan nadto mechanicznie. Owszem, komprymować tekst poetycki należy, ale nie w ten sposób, że wyciekają z niego te żywiące poezję soki, których czytelnik zawsze pragnie. A to rystyczność, owszem, ale nie w wymiarze prozy. Nie wiem, czy rzeczywiście liryka jest pańskim powołaniem. Mówię „liryka" mimo dzisiejszego pomieszania gatunków. Mam na myśli kwestię, czy najszczęśliwiej w pańskich tekstach wyraża się to, co pochodzi z emocji. Myślę, że treści intelektualne znacznie fortunniej wchodzą w Pana pisarską praktykę. Cóż, może by popróbować innych rodzajów? Czy nie obiecujący byłby tu np. dramat?

J.K. Radom. Korzystnie jest czasem sięgnąć do lektur wczorajszych. Tym razem mam na myśli nie te sprzed kilkudziesięciu, ale te sprzed kilkunastu lat. Niedawno przeczytałem po raz drugi „Sztukę czytania" Henryka Berezy. Trzeba przyznać, że ongiś dokładniej przykładało się miarę do zjawisk literackich. Nie znaczy to, że w sposób beznamiętnych, niezaangażowany, pozbawiony polemicznego ostrza. Bereza mimo dążności do maksymalnego „spokoju" bynajmniej nie jest biernym świadkiem. Potrafi wypomnieć to i owo nie byle komu, bo Wyce, Błońskiemu, Kwiatkowskiemu, by nie wymienić już Sandauera, którego robotę krytyczną ocenia raczej jako szereg gestów obliczonych na epatowanie oryginalnością. Ale właśnie. O ileż więcej było wówczas prawdziwej krytyki. Dziś, jeśli się jakieś opinie wypowiada, to wypowiada „z konieczności", jako że nie może istnieć krytyka autotematyczna, jak autotematyczna powieść. Oczywiście nie znaczy, że „Sztukę czytania" proponuję jako wzorcowy przykład krytycznego postępowania. Chcę tylko powiedzieć, że skończyła się — jak mi wolno sądzić — krytyka oceniająca, krytyka wymierzająca sprawiedliwość, na rzecz literackiej publicystyki w rodzaju „Świata nie przedstawionego" Kornhausera i Zagajewskiego, czy „Dnia powszedniego wyobraźni" Kurowickiego. Nie wiem, czy zapotrzebowanie na ten miniony model krytyki istnieje. Wiem tylko, że bezprzedmiotowe będą narzekania na jej brak, dopóki przypomnienie jej dobrych lat nie nastąpi.

W.C. Zamość. Przyznam się szczerze, że ja tu żadnych niesamowitości nie widzę. Opisuje Pan sytuacje odchylone od normy, nie zdarzające się w tzw. normalnym życiu, ale wcale nie czuje się w nich jakiegoś wiewu tajemnicy, grozy, mroźnego oddechu przeznaczenia. Wbrew nadziei Poe jest w tym nieobecny. Nie wystarczy wykoncypować sobie dziwną, choćby nawet interesującą fabułkę. Potrzeba wykazać, że opisane wydarzenie ma jakiś związek z ostatecznymi determinantami ludzkiego losu. I to związek immanentny, nie dodany jak pisarska dobudówka, którą autor zawsze może sprokurować mając prawo do samodzielnego prowadzenia akcji. Inaczej: chcę drżeć naprawdę, a nie tylko na zasadzie autorskiego słowa honoru.

B.S. Wrocław. O co miałbym pretensję: że te teksty nie układają się w jednolitą linię. Na dobra sprawę trudno — gdyby nie podpisy — byłoby uznać, że pochodzą od jednego autora. Czy to zarzut poważny, skoro wiersze i tak mogą być dobre? — spyta Pan. Nawet jeśli ma Pan rację, podejrzenie, że jest to bardziej stylistyczne ćwiczenie, aniżeli wyraz stanowiska światopoglądowego, nie przestaje czytelnika nurtować. A jeszcze bardziej krytyka. Bo taki sposób postępowania jest zawsze krótkometrażowy, treść poetycka wyczerpie się po kilkunastu utworach. Trudno i darmo, nie można być poetą inaczej, niż tylko wyrażając siebie, w sobie samym, w swoich przeżyciach szukając pożywki dla swojego słowa. Mam wrażenie, że pisanie przychodzi Panu zbyt łatwo: materiał przez to, że nie stawia oporu, nie jest Panu pomocny. Może jeszcze nie teraz, ale kiedyś przyzna mi Pan rację.

Między okładkami

Stanisław Lem: „Powtórka".

Iskry, 1979 st. 165, cena 18 zł.

Do Lema udajemy się po wrażenia specjalnego charakteru. Jak do kogoś, kto tkwi w środowisku nam niedostępnym, a jednak przyjmuje nas mimo naszej ignorancji w sposób pełny, nie okrojony różnicą wiadomości. Lema więc czytamy „prywatnie". I zawsze przy tym jakgdyby zaczynamy lepiej myśleć o sobie. Że ostatecznie nie wypadamy całkowicie źle, że potrafimy się zdobyć przynajmniej na parę sensownych pytań, że przyłapujemy i profesora na zagalopywaniu się.

Ale od kilku lat mamy innego Lema. Entuzjasta penetracji kosmosu stał się sceptykiem i z wyrozumiałą pobłażliwością traktuje swoich dawnych współwyznawców, którzy chcieliby go widzieć ciągle w białym skafandrze. Przyznać trzeba, że tego opinia czytelnicza nie przewidziała. To jakby Parnicki nagle zaniechał powieści historycznych, Centkiewiczowie opisu z wypraw w kraje polarne, a Nowakowski opowieści sowizdżalsko-lumpowskich.

W wypowiedziach telewizyjnych niegdysiejszego szermierza astronautyki czuje się nawet jakby lekki masochizm. Przyjemny masochizm. Zadowolenie z siebie konwetyty, który przekreślił swoją popularną, ale błędną przeszłość na rzecz jedynej prawdy. A jest w tym i satysfakcja z figla spłatanego wielbicielom.

Czy więc Lem zszedł ze swojego tematu? I tak i nie. Z przymrużeniem oka traktuje wprawdzie science-fikcyjną scenerię swoich opowiadań, natomiast całkiem serio, jak dawniej, prześmiewcze przytyczki dawane w tym przebraniu naszemu ziemskiemu życiu. A trzeba przyznać, że czyni to z inwencją urodzonego satyryka. Pod tym względem nie musiał się zmieniać. Nawet w jego okresie „ortodoksyjnym" filozoficzna groteska miała prawo obywatelstwa w jego pisarstwie, ma je i teraz, kiedy Lem z pobłażaniem traktuje opowieści o zielonych ludzikach.

„Powtórka" składa się z opowiadania tytułowego oraz dwóch słuchowisk radiowych. Jak się tłumaczy ta powtórka? Otóż tak, że dwaj znani już nam konstruktorzy Truri i Klapaucjusz na zlecenie monarchy Hipolipa Sarmandzkiego mają się podjąć budowy nowego świata, a więc powtórzyć dzieło stworzenia. Słuchowiska zaś mają za treść — jedno oferty nowych wynalazków (śmiesznych i niedorzecznych), drugie — walkę na śmierć i życie dwóch ludzi na stacji księżycowej, kiedy na skutek awarii aparatury tylko dla jednego ma wystarczyć tlenu. To drugie nosi „perwersyjnie liryczny" tytuł „Noc księżycowa".

Czy godzi się podawać treść reklamując książkę? Płonna obawa, i tak jej nie zdradzimy. Nie w perypetiach jej wartość. W dygresjach, w aluzjach, w analogiach, wreszcie w humorze tym bardziej rozwiniętym, że pod piórem nowego Lema, Lema „nie na serio".

M. Z.

Marta Tomaszewska: „Sędzia".

Iskry, 1979, str. 224, cena 18 zł.

Tytuł pochodzi od postaci drugoplanowej. Pierwszoplanową jest chłopiec zakochany w swojej dziewczynie, w swojej narzeczonej, w swojej żonie, która zażądała rozwodu. Trochę to naciągane. Dziewczyna w kilka miesięcy po ślubie zohydziła sobie postać doniedawna ukochanego. Ten pisze do niej listy i cierpi jak Werter w domu dziadka, bo z rodzicami, którzy go ślubnie wyposażyli we własne mieszkanie, nie znajduje porozumienia. Młoda żona jest zakochana w piosenkarskim lowelasie, który do małego miasteczka nie wiadomo po co ściągnął ze stolicy. Lowelas wyznający zasadę łatwego użycia popełnia samobójstwo, bo dochodzi do przekonania, że brak mu wysokiego osiągnięcia artystycznego w postaci płytowego nagrania. I tak dalej. Tylko — o dziwo — nie są to zastrzeżenia powstałe w czasie lektury. Tę książkę się czyta. Może dlatego, że jest napisana językiem łatwo przyswajalnym, nie przeforsowanym w stronę stylistycznych manieryzmów, ani nie oklapniętym przy zdawkowościach małego realizmu.

Warto jednak wytknąć jedno drobne przeoczenie. O pewnym domu autorka mówi, że jest pięciopiętrowy. Ale kiedy sędzia do niego wszedł, a chciał być niezauważony, na piątym piętrze (str. 217) „przeżył chwilę paniki słysząc skrzypnięcie otwieranych piętro wyżej drzwi". Obawiał się więc, że ktoś wyjdzie z szóstego piętra pięciopiętrowego budynku. Nawet ładny surrealizm.

■

„O Magdalenie Samozwaniec".

Wydawnictwo Literackie, 1979, str. 220, cena 55 zł.

35 autorek i autorów wspomina znaną polską satyryczkę. A trzeba przyznać, że jest co. Samozwaniec (właściwie Kossakówna primo voto Starzewska, secundo Niewidowska) wiele swojego dowcipu pozostawiła poza książkami, w rozmowach, na spotkaniach autorskich, w dyskusjach, w ogóle w życiu. To właśnie wydobywają na jaw wspomnienia

M. Z.

Listy do kameny

„ZAKŁÓCENIA"

Do lokalnych przyczyn zakłócenia odbioru programów telewizji kolorowej w Lublinie, wyszczególnionych w liście K. Kowalskiego („Kamena" nr 25), pragnę dodać jeszcze jedną, o charakterze „centralnym". Otóż materiał i sprzęt, m.in. kamery reporterów, na których pracuje nasza TV, nie są najlepszej jakości i pozostają daleko w tyle za standardem „Jowiszów". Tak czy inaczej brak w tej całej sprawie koordynacji technicznej. Pozostaje nadzieja, że coś się w przyszłości zmieni na lepsze.

Janusz Witecki
Warszawa

LODOWISKA

Nie było i nie ma w Lublinie lodowiska z prawdziwego zdarzenia, podobnie brakowało i brakuje nam nadal basenów kąpielowych i kortów tenisowych. Jeśli napisałem ten list do redakcji, to jednak nie dlatego, aby nawoływać do zbudowania w mieście czegoś takiego imponującego, jak sztuczne lodowisko na warszawskich Stegnach. Nie pora na takie apele w dobie trudności energetycznych. Wydaje mi się jednak, że z większą troską powinniśmy podejść do lodowisk przyszkolnych, bo w praktyce są to jedyne tereny sportów zimowych młodzieży uczniowskiej. Wbrew pozorom, urządzenie i otwarcie takiej płyty nie jest takie proste — nie tyle ze względów technicznych, co personalnych. Zawsze bowiem brakuje ludzi, którzy mieliby chęci i czas na to, aby czuwać nad porządkiem na lodowisku. Od nauczycieli nie mamy prawa wymagać, żeby jeszcze po lekcjach sterczeli na mrozie: są zbyt zapracowani. Natomiast sami uczniowie nie zawsze są w stanie zapanować nad sytuacją, ponieważ z lodowiska z reguły korzysta młodzież spoza szkoły, starsza i często niesforna, mówiąc łagodnie. Może więc ZSMP otoczyłby opieką te lodowiska?!

Karol Wolski
Lublin

CO NA STARYM MIEŚCIE?

Na początku tego roku „Kamena" zamieściła optymistyczny artykuł o perspektywach renowacji lubelskiego Starego Miasta, aby później nie powracać do tematu. Szkoda, bo dla nas, rodowitych lubliniaków, mieszkających w innych ośrodkach, pismo jest właściwie jedynym źródłem informacji o sprawach Koziego Grodu. Proszę więc wybaczyć, ale „zamawiam" u was artykuł o tym, co dzieje się obecnie na Starym Mieście.

Marian Mikołajczuk
Łódź

Od redakcji: Nie pisaliśmy o Starym Mieście wychodząc z przekonania, że instytucjom i przedsiębiorstwom zaangażowanym w jego renowację trzeba dać trochę czasu na, jak to się mówi, przegrupowanie sił i rozwinięcie frontu robót. Na początku przyszłego roku powrócimy do tematu. Tymczasem dziękujemy za list, który poświadcza, że wiadomy problem ciągle znajduje się w polu społecznej uwagi.

„DROGOWSKAZY"

Gratuluję pomysłu ankiety pt. „Drogowskazy", w której wypowiadają się najwybitniejsi twórcy naszej kultury i nauki, czy osoby o dobrej popularności! Ciągnijcie tę serię jak najdłużej, bo rzadko mamy okazję poznawać takich ludzi od strony osobistej, a zarazem nie kuluarowej.

Krystyna Pol
Zamość

OŚRODEK NAGRAŃ

Wszyscy wiemy, jak trudno kupić płyty z nagraniami dobrych i modnych zespołów, uprawiających tzw. muzykę młodzieżową. W sklepach państwowych ich nie ma, w komisach pojawiają się od czasu do czasu, ale kosztują bardzo dużo, nawet po 3 tys. zł. Podobnie zresztą przedstawia się sprawa z płytami muzyki poważnej — klasycznej i współczesnej, nagranej przez słynne orkiestry pod batutą świetnych dyrygentów. W tej sytuacji można by zastanowić się nad otwarciem ogólnodostępnych ośrodków muzyki mechanicznej, ulokowanych np. przy Wojewódzkich Domach Kultury i dobrze zaopatrzonych w różne i aktualne właśnie płyty, które każdy chętny mógłby wypożyczyć na okres np. 1—2 tygodni, albo nagrać je na miejscu na własną taśmę magnetofonową. Gdyby rzecz się przyjęła, w co trudno wątpić, ośrodki takie należałoby uruchomić przy domach kultury w mniejszych miastach. Rozumiem, że w praktyce mogłyby początkowo pojawić się jakieś kłopoty, ale sam pomysł wart jest chyba uwagi. Wiem, że ośrodki takie, istniejące przy bibliotekach muzycznych, zdają egzamin w wielu krajach.

Jadwiga Walicka
Lublin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Henryk Pająk (kierownik działu literackiego), Maciej Podgórski, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:
— do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
— do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
— do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", Centrala Kolportażu Prasy, Wydawnictw Ot. Towarowa nr 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych, o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—15.

Wydawca RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Nr indeksu 36231

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 253-93 dział publicystyki i literacki 275-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

DZIS: ZYGMUNT STANISŁAW PYTLIK